

NOWE ŻYCIE

dolnośląskie pismo katolickie

Religia
Społeczeństwo
Kultura

Rok XXIII Nr 11 (386)

Listopad 2006

Niepodległość

Udział rodziny w rozwoju
społeczeństwa

Dolnośląskie cmentarze

O liturgii chrześcijańskich pogrzebów

Umiłowani, w Chrystusie Panu, Siostry i Bracia,

Przeżywaliśmy niedawno uroczystość Wszystkich Świętych i Wspomnienie Wszystkich Wiernych Zmarłych, zwane u nas Dniem Zadusznym. W tych dniach nawiedzaliśmy cmentarze i wspominaliśmy tych, którzy już zakończyli ziemskie pielgrzymowanie do wieczności. Wspominaliśmy naszych najbliższych, a także tych, którzy oddali swoje życie w obronie Ojczyzny, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych, na zsyłkach i w innych miejscach, wierni Bogu i Polsce oraz wartościom jej chrześcijańskiej kultury.

Z okazji uroczystości Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego porządkowaliśmy groby, przyozdabiając je kwiatami i zielenią i zapalając na nich znicze. Troska o groby to piękny zwyczaj. Kwiaty na nich mówią o życiu człowieka po śmierci, a zapalone lampki są znakiem światłości wiekuistej, do jakiej jest wezwany każdy człowiek i jakiej życzymy naszym zmarłym. Zachęcam, niech troska o groby zaznaczy się także w ciągu roku, zwłaszcza z okazji Świąt Zmartwychwstania Pańskiego czy innych uroczystości.

Celowo przywołałem tu klimat panujący w każdym roku na naszych cmentarzach w pierwszych dniach listopada. W jego świetle bowiem pragnę przedstawić Wam, Drodzy Siostry i Bracia, niektóre zagadnienia dotyczące chrześcijańskiego pogrzebu.

Księga liturgiczna pt. *Obrzędy pogrzebu* przypomina, że w liturgii pogrzebowej Kościół obchodzi z wiarą paschalne misterium Chrystusa i wyraża pełne nadziei przekonanie, że odchodzący z tego świata chrześcijanie przez sakrament chrztu wszczępieni w Chrystusa umarłego i zmartwychwstałego, przechodzą wraz z Nim przez śmierć do nowego życia w wieczności.

Sprawując za zmarłych Eucharystię i modląc się za nich w obrzędach pogrzebowych, Kościół pragnie zarazem umacniać w chrześcijańskiej nadziei swoje żyjące dzieci, budząc w nich wiarę w zmartwychwstanie z Chrystusem wszystkich ochrzczonych. Liturgii pogrzebowej winna towarzyszyć atmosfera religijnego skupienia, pietyzmu i ciszy (por. *Obrz. pogrz.* 1-2).

Każdy katolik żyjący zgodnie z przykazaniami Bożymi i kościelnymi ma prawo do pogrzebu kościelnego, a liturgia pogrzebowa winna być sprawowana w miarę możliwości w jego własnym kościele parafialnym. Również wówczas, gdy pogrzeb odbywa się na cmentarzu komunalnym, liturgii winien przewodniczyć duszpasterz parafii ostatniego zamieszkania zmarłego (por. kan.

1177 § 1 i § 2 *Kodeksu Prawa Kanonicznego*). Każde inne rozwiązanie jest naruszeniem obowiązującego porządku i niesie ze sobą niebezpieczeństwo przykrych niespodzianek. By ich uniknąć, proszę rodziny katolickie i wszelkie stowarzyszenia opiekujące się chorymi i ludźmi w podeszłym wieku, by zgony swoich podopiecznych zgłaszały – możliwie szybko – w kancelarii terytorialnie właściwej parafii i tam ustalały czas i miejsce pogrzebu; tych czynności nie należy pozostawiać firmom pogrzebowym.

Do duszpasterzy apeluję, by zgłaszanie pogrzebu w kancelarii parafialnej i samą liturgię pogrzebową traktowali jako okazję zbliżenia do Boga i Kościoła ludzi o różnych przekonaniach i postawach życiowych. Wszelkim kontaktom duszpasterza z osobami zainteresowanymi pogrzebem winien towarzyszyć takt, szacunek i współczucie (por. *Synod Archidiecezji Wrocławskiej 1985-1991*, s. 301).

W duchu chrześcijańskiego ekumenizmu, apeluję również do osób duchownych bratnich Kościołów: bądźmy lojalni wobec siebie i nigdy nie wykorzystujmy jakichkolwiek niedomówień czy braku adekwatnej wiedzy ze strony niektórych członków innej – jak nasza – wspólnoty religijnej.

Wreszcie wyrażam nadzieję, że zakłady pogrzebowe będą lojalnie współpracowały z parafiami Kościoła rzymskokatolickiego w służbie tym, którzy przeżywają odejście z tego świata bliskich, a niekiedy najbliższych im osób.

Cmentarz, miejsce doczesnego spoczynku naszych najbliższych, winien pozostawać przestrzenią ciszy, braterskiej miłości i wzajemnego poszanowania.

† MARIAN GOŁĘBIEWSKI
ARCYBISKUP METROPOLITA WROCŁAWSKI





*Cmentarz Osobowicki
we Wrocławiu
fot. Romuald Lazarowicz*

NOWE ŻYCIE dolnośląskie pismo katolickie

Religia - Kultura - Społeczeństwo
Miesięcznik

Rok XXIII Nr 11 (386)
Listopad 2006

Wydawca

Kuria Metropolitalna Wrocławska

Redaktor naczelny
ks. Piotr Nitecki

Sekretarz redakcji
s. Maria Cecylia Bajstok CR

Redaguje zespół

Redakcja zastrzega sobie prawo
do skrótów, nie zwraca też
materiałów nie zamówionych.

Adres redakcji
ul. Katedralna 13
50-328 Wrocław, tel. 327-11-16

e-mail: nowezycie@archidiecezja.wroc.pl
www.nowezycie.archidiecezja.wroc.pl

ISSN 0233-4367

Druk
„Kontra”
Wysoka, ul. Chabrowa 5

Nakład: 9500 egz.

NOWE ŻYCIE

W numerze:

- 2 Kalendarz liturgiczny - listopad 2006
- 2 Niepodległość
Tomasz Serwatka
- 4 Udział rodziny w rozwoju społeczeństwa
Ks. Jan Krucina
- 7 Na krawędzi zgubnej ścieżki
Grażyna Ślęzak
- 8 Dolnośląskie cmentarze
Artur Adamski
- 10 Zapomniany osobowicki święty Jan z Nepomuka
Ryszard Troszczyński
- 12 Początki duszpasterstwa ojców
karmelitów bosych we Wrocławiu
Ewa Sudlitz
- 14 Kwestia odpowiedzialności
Aldona Szarypo
- 16 Jesteśmy inni...
Ks. Rafał Kowalski
- 17 Odszedł nasz „Kruszyna”
Izabella Zamojska
- 18 Brama Zmartwychwstania
Joanna Pietrasiewicz
- 19 Jeszcze o karze śmierci
Leszek Wincenciak
- 21 „Okruszek”
- 24 Krzyżówka
- okł. II O liturgii chrześcijańskich pogrzebów
Abp Marian Goźbiewski
- okł. III Nowości Instytutu Wydawniczego PAX
- okł. IV *fot. A. Belica*



KALENDARZ LITURGICZNY

Listopad 2006

- 1 **Śr.** **Wszystkich Świętych**
Ap 7, 2-4, 9-14; 1 J 3, 1-3; Mt 5, 1-12a.
- 2 **Cz.** **Dzień Zaduszny**
Job 19, 1, 23-27a; 1 Kor 15, 20-24a, 25-28; Łk 23, 44-46.
- 3 **Pt.** Piątek XXX Tygodnia Zwykłego
Flp 1, 1-11; Łk 14, 1-6.
- 4 **S.** **św. Karola Boromeusza**
Flp 1, 18b-26; Łk 14, 1, 7-11.
- 5 **N.** **XXXI Niedziela Zwykła**
Pwt 6, 2-6; Hbr 7, 23-28; Mt 12, 28b-34.
- 6 **P.** Poniedziałek XXXI Tygodnia Zwykłego
Flp 2, 1-4; Łk 14, 12-14.
- 7 **Wt.** Wtorek XXXI Tygodnia Zwykłego
Flp 2, 5-11; Łk 14, 15-24.
- 8 **Śr.** Środa XXXI Tygodnia Zwykłego
Flp 2, 12-18; Łk 14, 25-33.
- 9 **Cz.** **Rocznica poświęcenia Bazyliki Laterańskiej**
Ez 47, 1-2, 8-9, 12; 1 Kor 3, 9b-11, 16-17; J 2, 13-22.
- 10 **Pt.** **św. Leona Wielkiego**
Flp 3, 17-4, 1; Łk 16, 1-8.
- 11 **S.** **Święto Niepodległości**
Flp 4, 10-19; Łk 16, 9-15.
- 12 **N.** **XXXII Niedziela Zwykła**
1 Krl 17, 10-16; Hbr 9, 24-28; Mk 12, 38-44.
- 13 **P.** **Pierwszych Męczenników Polski**
Tt 1, 1-9; Łk 17, 1-6.
- 14 **Wt.** Wtorek XXXII Tygodnia Zwykłego
Tt 2, 1-8, 11-14; Łk 17, 7-10.
- 15 **Śr.** Środa XXXII Tygodnia Zwykłego
Tt 3, 1-7; Łk 17, 11-19.
- 16 **Cz.** **Rocznica Poświęcenia Katedry Metropolitalnej Wrocławskiej**
- 17 **Pt.** **św. Elżbiety Węgierskiej**
2 J 4-9; Łk 26, 17-37.
- 18 **S.** **bl. Karoliny Kózkówny**
3 J 5-8; Łk 18, 1-8.
- 19 **N.** **XXXIII Niedziela Zwykła**
Dn 12, 1-3; Hbr 10, 11-14, 18; Mk 13, 24-32.
- 20 **P.** **św. Rafała Kalinowskiego**
Ap 1, 1-4; 2, 1-5a; Łk 18, 35-43.
- 21 **Wt.** **Ofiarowanie NMP**
Ap 3, 1-6, 14-22; Łk 19, 1-10.
- 22 **Śr.** **św. Cecylii**
Ap 4, 1-11; Łk 19, 11-28.
- 23 **Cz.** **Czwartek XXXIII Tygodnia Zwykłego**
Ap 5, 1-10; Łk 19, 41-44.
- 24 **Pt.** **Świętych Męczenników Andrzeja Dung-Lang i Towarzyszy**
Ap 10, 8-11; Łk 19, 45-48.
- 25 **S.** **Sobota XXXIII Tygodnia Zwykłego**
Ap 11, 4-12; Łk 20, 27-40.
- 26 **N.** **Uroczystość Chrystusa Króla**
Dn 7, 13-14; Ap 1, 5-8; J 18, 33b-37.
- 27 **P.** **Poniedziałek XXXIV Tygodnia Zwykłego**
Ap 14, 1-3, 4b-5; Łk 21, 1-4.
- 28 **Wt.** **Wtorek XXXIV Tygodnia Zwykłego**
Ap 14, 14-20; Łk 21, 5-11.
- 29 **Śr.** **Środa XXXIV Tygodnia Zwykłego**
Ap 15, 1-4; Łk 21, 12-19.
- 30 **Cz.** **św. Andrzeja Apostoła**
Iz 49, 1-6 lub Rz 10, 9-18; Mt 4, 18-22.

Niepodległość

TOMASZ SERWATKA

Dzień 11 listopada 1918 roku był wypadkową wielu korzystnych dla Polaków elementów ówczesnej sytuacji międzynarodowej: klęski Niemiec na zachodnim froncie wielkiej wojny, rozpadu Austro-Węgier oraz dwóch rewolucji i wojny domowej w Rosji. W momencie formalnego objęcia przez Józefa Piłsudskiego władzy w charakterze naczelnika państwa, w skład państwa polskiego wchodziły zaledwie Kongresówka i zachodnia Galicja. Dla pełnego terytorialnego scalenia II Rzeczypospolitej potrzebny był jeszcze ogromny wysiłek trzech lat: powstanie wielkopolskie, trzy powstania śląskie, walka z Ukraińcami o Lwów i wreszcie bój z bolszewikami o Kresy Wschodnie.

Najistotniejszym problemem naszych polityków było jak najszybsze powołanie władz państwowych uznawanych przez czynniki międzynarodowe, a zwłaszcza Ententę (Francja, USA i Wielka Brytania) oraz przygotowanie wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Już 16 listopada naczelnik państwa notyfikował największemu mocarstwu powstanie niepodległego państwa polskiego, zaś 28 listopada premier Moraczewski rozpiął wybory do Sejmu. Poza tym jednak brakowało powodów do optymizmu. Groziła wojna domowa lewicy z prawicą. Na domiar złego, początkowo Ententa uznawała za prawowity (tymczasowy) rząd Rzeczypospolitej działający w Paryżu Komitet Narodowy Polski, pod polityczną batutą Romana Dmowskiego, nie zaś centrolewicowe gabinety powoływane w Warszawie przez naczelnika państwa.

Już latem 1914 r., w momencie wybuchu I wojny światowej, ukształtowało się wśród polityków polskich kilka „orientacji” politycznych. Główna szansa naszych przodków polegała na tym, że po raz pierwszy w historii stanęli przeciw sobie Rosja (w sojuszu z Zachodem) z jednej, a Niemcy i Austria z drugiej strony. Konserwatyści i liberałowie galicyjscy, reprezentujący głównie sfery arystokratyczno-intelektualne Krakowa i Lwowa, stanęli na gruncie lojalizmu proaustriackiego (Michał Bobrzyński, W.L. Jaworski), planując powołanie po wojnie tralistycznej, austro-węgiersko-polskiej monarchii, z Habsburgiem na czele.

W pierwszym etapie wojny (1914-1915) z tą „orientacją austro-polską” pokrywała się częściowo tak zwana

opcja legionowa, z Piłsudskim i jego I Brygadą na czele. Różnica polegała wszak na tym, że Piłsudski traktował Berlin i Wiedeń instrumentalnie i koniunkturalnie (chodziło mu jedynie o broń i pieniądze od państw centralnych), nie wiążąc swych planów z Habsburgami, a dążąc do jak największej samodzielności i autonomii ziem polskich; przede wszystkim chodziło mu zaś o uformowanie – w toku wojny z Rosją na froncie wschodnim – załóżków wojska polskiego, ale niezależnego od tymczasowych „sojuszników”. Endecja z kolei stała na gruncie tak zwanej orientacji antyniemieckiej, w myśl tezy Romana Dmowskiego, że to Niemcy są wrogiem numer 1 sprawy polskiej. Początkowo (jesień 1914 – wiosna 1915) zdawało się, że ta właśnie opcja ma najlepsze perspektywy. Rosjanie – z którymi współpracowali wówczas endecy – zajęli bowiem większą część Galicji.

Problem polegał jednak na tym, że rządy carskie tak naprawdę nigdy nie myślały serio o autonomii dla Polski. Zresztą aż do rewolucji 1917 roku na dworze Mikołaja II często rozważano koncepcję separatystycznego pokoju z Rzeszą, właśnie kosztem Polaków. Poza tym już w toku wielkiej majowej ofensywy Niemców pokazała się w całej okazałości militarna słabość caratu. 5 sierpnia 1915 r. Prusacy wkroczyli do Warszawy. W ciągu następnego roku opanowali dalsze tereny wschodnie: Wołyń, Białoruś, Litwę i spory szmat Ukrainy. Ten stan rzeczy skłonił Dmowskiego do wyjazdu z Petersburga i udania się do Anglii oraz USA. Na zachodzie skontaktował się on z wielkim i znanym w całym świecie

pianistą, Ignacym Janem Paderewskim (1860-1941).

Pozycja mistrza na dyplomatycznych salonach Ententy była wówczas ogromna. Przyjmowany był on tak w Białym Domu, jak na Downing Street czy Quai d'Orsay. Postanowili wspólnie z Dmowskim wpłynąć przede wszystkim na amerykańskie sfery polityczne, a szczególnie prezydenta Thomasa W. Wilsona, w kierunku energicznego wsparcia polskich aspiracji narodowych. Rok 1916 był w tym kontekście najtrudniejszy. USA nie były jeszcze w wojnie z Rzeszą i Austrią (deklarację taką ogło-



Marszałek Józef Piłsudski

Trzeba było dopiero ogromnego wysiłku mistrza w kierunku konsolidacji Polonii w USA, aby zwrócić uwagę tamtejszej klasy politycznej i szerszej opinii na daleki kraj nad Wisłą. Ostatecznie to właśnie USA rozstrzygły losy I wojny światowej na korzyść Ententy. Po odpadnięciu bowiem z gry militarnej – w wyniku dwóch rewolucji 1917 r. – Rosji, Anglia i Francja nie były już w stanie same przeciwstawić się Niemcom. Tymczasem na okupowanych przez Niemców i Austriaków ziemiach polskich, Piłsudski (i W. Sikorski) próbowali rozbudowywać Legiony do walki z caratem. Komendant domagał się wszak narodowego „rządu i wojska”.

Wobec wyczerpywania się własnych rezerw ludzkich, państwa centralne zaplanowały stworzenie Polnische Wehr-

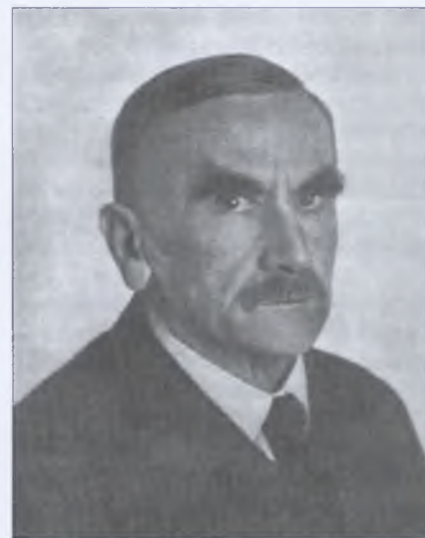
macht, lecz nie na warunkach Piłsudskiego a generała gubernatora warszawskiego von Beselera. Polityczną „nadbudową” miał stać się tak zwany Akt 5 listopada 1916 r., gdzie kajzer Wilhelm II i cesarz Franz Josef I nadali Kongresówce „niepodległość”. Powołano też polskie instytucje, jak Tymczasową Radę Stanu czy Uniwersytet Warszawski. Były to koncesje ważkie, ale raczej w wymiarze symbolicznym, bo realną kontrolę nad Polską miały nadal państwa centralne. Dlatego też rozczarowany polityką Niemiec w I połowie 1917 roku komendant Piłsudski zakazał swym żołnierzom składania przysięgi na wierność obcym monarchom, za co został internowany przez Prusaków w Magdeburgu 22 lipca tegoż roku. Po 15 miesiącach powrócił był do Warszawy w aureoli bohatera narodowego...

Sukcesy Niemiec w Europie Wschodniej, zostały skutecznie zrównoważone przez zwycięstwo USA (przy współudziale Francji i Anglii) jesienią 1918 r.



Ignacy Jan Paderewski

sił Wilson dopiero w kwietniu 1917 roku), a tamtejsze proniemieckie lobby było dość silne. Poza tym problematyka polska była dla Amerykanów kompletnie egzotyczna.



Roman Dmowski

na froncie zachodnim. Dzięki zabiegom Paderewskiego i Dmowskiego, prezydent Wilson wprowadził do oficjalnej amerykańskiej strategii wojennej i powojennej słynny passus o „united, independent and autonomous Poland”. Głównym zadaniem naczelnika Piłsudskiego w końcu 1918 roku było zatem sformowanie rządu „jedności narodowej” uznawanego przez cały świat. Zamęt był spory, bowiem rozpleniły się partyjne swary. Na dobrą sprawę dopiero jego grudniowy list do Romana Dmowskiego oraz pojednawcza misja prof. Stanisława Grabskiego spowodowały, że możliwe stało się powołanie autentycznie centrowego rządu Ignacego Jana Paderewskiego.



Powitanie Komendanta na dworcu kolejowym w Warszawie dnia 11 listopada 1918 r. po jego powrocie z więzienia w Magdeburgu.

Udział rodziny w rozwoju społeczeństwa

KS. JAN KRUCINA

Stajemy przed pytaniem: Jakie związki zachodzą między rodziną a życiem społecznym kraju, ale i jaka jest kolejność przenikająca te zależności między zagrodą rodzinną a makrostrukturą ludności zasiedlającej społeczeństwo? Kto jest pierwszy: kraj czy rodzina, nastroje ogólnospołeczne czy klimat, który łączy rodziców i dzieci? Pomagają nam w tym dochodzeniu słowa soboru: *Szczęście osoby i społeczności ludzkiej oraz chrześcijańskiej wiąże się ściśle z pomyślnością sytuacji wspólnoty małżeńskiej i rodzinnej (KDK 47).*

Wspólnota dwojga osób

Czy jest jakieś zespolenie, które ogarniałoby człowieka w sposób pełny i całościowy? To rodzina obejmuje wszystkie wymiary egzystencjalne ludzkiej istoty: duchowe, biologiczne, społeczne i gospodarcze. W żadnej strukturze nie występują one tak ściśle powiązane w całość. Stąd rodzina uchodzi za wspólnotę całościową a tym samym i swoistą. Żywotne pierwiastki, z których ona wyrasta – to miłość, wierność i zaufanie. Najbardziej intymne uczucia tworzą podstawę współpracy jej członków oraz świadczonej sobie pomocy.

Co jako istotny przymiot wyróżnia rodzinę w jej rozwoju? Nic, co mogłoby być większe aniżeli spotkanie wzajemne płci – mężczyzny i kobiety – oraz przenikanie się pokoleń: rodziców i dzieci. Nie ma innej formy współczesności, gdzie owo powiązanie płciowo-generacyjne miałyby tak pierwotne znaczenie.

Odniesienia między małżeńskimi partnerami, jak też między rodzicami i dziećmi przeszły doniosłą ewolucję. Przekształciły się w relacji patriarchalno-autorytarnej w postać współzycia partnerskiego. Przynosi to ze sobą pewne niebezpieczeństwo. Mimo ukształtowania się przyjacielskich związków między rodzicami i dziećmi przestrzeganie odpowiedniej granicy pokoleniowej wśród uczestników życia rodzinnego pozostaje nieodzowne. Inaczej upada spoistość rodziny oraz główny warunek decydujący o prawidłowym uformowaniu osobowości każdego z potomstwa.

Szczególną rolę odgrywają wewnątrz rodziny relacje między mężczyzną a kobietą. Oni tworzą małżeństwo, biorące się często z cudownego

ośnienia i fascynacji – zawiązują tym samym prakomórkę rodziny. Jakkolwiek nie są jeszcze rodziną, niosą w sobie jej zarodki. Małżeństwo uświęcone sakramentem stanowi zatem najważniejszy obszar egzystencji rodzinnej. Dlatego stanowią trwałą, a właściwie ciągłą część samej rodziny. Mężczyzna i kobieta konstituują rodzinę. Oni dwoje ciągle są, oni trwają, kiedy najpierw dochodzą do ich groma dzieci, a następnie oni pozostają nadal owym niezmiennym centrum, kiedy dzieci wyrastają i opuszczają zagrodę rodzinną.

Małżeństwo zasadza się na wzajemnej i bezwarunkowej miłości dwojga płciowo różnych osób. Ale dzięki temu zawiązują osobową wspólnotę płci. Nie oznacza to jednak, że małżeństwo w pierwotnym ugruntowaniu ma charakter seksualny. Oznaczałoby to depersonalizację ich partnerskiego związku. Byłoby wielkim zniesławieniem małżeństwa, gdybyśmy je chcieli uważać za prawnie usankcjonowaną więź seksualną, tylko za legalne stosunki seksualne. Owo wysoce osobowe, osobiste oraz intymne spotkanie już z samej natury uchyla się, nie bacząc na inne rodzinne zobowiązania, przed wszelkiego rodzaju naciskami. Szczególnie ta najbardziej subtelna sfera doświadczenia małżeńskich przeżyć domaga się najtroskliwiej chronionej przestrzeni. Inaczej nie mógłby się spełnić ów najwyższy stopień międzyosobowej wzajemności, którą nazywamy najbardziej intymną, najbliższą zażyłością, w jakiej może się spełnić wspólnota wybranych osób. Tu kryje się doświadczenie najbliższego „ty”. Najgłębszej treści tego, co mieści w sobie drugie „ty”, można doświadczyć tylko w odniesieniu do drugiego, a właściwie

w spotkaniu między dwojgiem ludzi. I z każdym innym „ty” przeżycie to będzie inne. Jakże inaczej zawierałoby ono indywidualność, jedyność, niepowtarzalność, więcej, gdzie podziałaby się niewymienność i nieodstępność drugiego osoby, co w doświadczeniu drugiego „ty” objawia się w nim i wyłącznie w nim?

Z Objawienia wiadomo, że nierozzerwalne małżeństwo stanowi źródło i początkowe pochodzenie rodziny a tym samym i całej ludzkiej społeczności. Stąd bierze początek jej rozwój. Fundamentem jej stabilności jest nierozzerwalne małżeństwo. Cokolwiek sądzić, inne formy współzycia nie mogą stanowić podstawy rodziny i nie przyczyniają się do trwałości społeczeństwa.

Z Bożego planu wynika, że małżeństwo musi być otwarte na poszerzenie przez dzieci, by mogło stać się pełną rodziną. Rodzice obdarowują dzieci życiem i one należą przede wszystkim do rodziców – ani do społeczności, ani do państwa. Rodzina jest częścią wspólnoty szerszej, ale jest starsza od państwa. Skoro nie jest wymyślona przez państwo, skoro jej pochodzenie jest przyrodzone, to i jej prawne wyposażenie jest pierwotne. Zawartość celowa przeznaczenie rodziny – dopełnienie małżonków w usługiwaniu życiu – jest dane i zadane wraz z nią samą. Istnieje zatem obiektywny system wartości, oparty na prawie naturalnym, który orzeka, że moralna moc wiążąca życia społecznego jest taka sama jak powinność moralna pojedynczego człowieka, wywodzącego się z rodziny.

Cóż za znaczenie ma rodzina dla tych, których „rodzi”? Dla dzieci stwarza barierę osłony i miejsce poczucia bezpieczeństwa. Ona jest domem, do którego dziecko wraca ze swoimi pierwszymi doznaniem świata. Tu mieści się azyl, w którym można się ukryć, do którego można umknąć, ażeby najlepszym opatrunkiem zagoić pierwsze rany. Ale dom rodzinny jest też i sceną, pierwszą widownią, na której dziecko rozgacza wspaniałe pierwociny swoich osiągnięć. Do domowej wylęgarni dziecko wraca również poranione lub niedocenione – bądź faktycznie, bądź pozornie – ażeby leczyć niepowodzenia. Słowem, dom

ojczysty jest miejscem, gdzie można pochwalić się lub pożalić ze swymi codziennymi doświadczeniami, ażeby je stopniowo rozważyć, przejrzeć, ocenić, zrozumieć je i pospłatać w rodzącej się świadomości, ażeby siebie umocnić i przygotować na nowe zaskoczenia.

Szkoła bogatszego człowieczeństwa – przekazicielka kultury

W zderzeniu z szorstką cywilizacją industrialną rodzina stanowi nieodzowną strefę ochronną. Jest osłoną, gdzie swobodnie może dokonywać się samowyjawianie się człowieka, uchronienie tego, co jeszcze wymaga zakrycia przed chłodną, a niekiedy bezwzględnie publiczną. Tylko w ufnym środowisku rodziny dochodzi do wymiany zakwitających poufałości i subtelności, które bez odpowiedniej swojszczyzny

ludzka w jakże zimnej w porównaniu z ufnością rodzinnego ciepła strefie pozarodzinnej. Stąd też wielkie znaczenie rodziny dla zdrowia psychicznego wszystkich jej uczestników, a w przedłużeniu – dla rozkwitu całej społeczności.

Ze względu na własną niepowtarzalność na ogół są przez rodzinę objęci wszyscy. Są przyjmowani w sposób ciepły i kochany. Owo bezwzględne osobowe oddanie, w którym rzadko występują zastrzeżenia, przekracza nakazy sprawiedliwości innych otaczających rodzinę instytucji w życiu publicznym. W tej bowiem wspólnotce życia dojrzewający młody człowiek doświadcza, co oznacza bliskość i solidarność na co dzień. Tu nie góruje jeszcze żadna zasada wydajności, jakiegoś rekordu. Sprawiedliwość nie jest wymierzana według tego, ile kto wnosi, jakie roszczenia nim kierują, a doceniany jest raczej według

dzieci. W nowoczesnej rodzinie kurczą się rozmiary dawnych działań gospodarczych. Z tego względu winny się poszerzać opiekuńcze odniesienia rodziców wobec dzieci. Oznaczałoby to poszerzenie przestrzeni wychowawczej. Na naszych oczach poświeca się wychowaniu w pierwszym rzędzie matka. Figura matki zdaje się być wszystkim. Ojciec i ewentualne rodzeństwo dzielą się tą rolą w miarę postępującego rozwoju. Co w tych etapach wychowawczych jest decydujące? Rozstrzygającym jest panujący klimat wzajemnych uczuć, atmosfera ciepła, uczuciowości i poczucia bezpieczeństwa. Dlaczego? Są to czynniki, które jedyne dostarczają dziecku najpierw pewności wobec samego siebie, następnie wobec bliźnich, skąd bierze się późniejsze uzdolnienie śmiałego wychodzenia ku drugim, zdolność ułożonego i niełkliwego współżycia z innymi. Jest więc rodzina nosicielką i przekazicielką kultury, prawidłowego sposobu bycia człowiekiem.

To, że rodzina jest miejscem wzajemnych spotkań, odniesień, oznacza również, że każdy jej uczestnik bywa przyjmowany, ba, nawet ogarniany w całości swego jestestwa, ze wszystkimi zaletami i słabościami. W tej wspólnotce przenikania dziecko uczy się mówić, a jego mowa staje się sposobem jego wyrazu, ekspresji. W zabawach opanowuje swoje doznania i wrażenia. Zarówno pozytywne, jak negatywne przeżycia pozostają niezbywalnym warunkiem przyswojenia sobie samodzielnego rozumowania, zdolności zdrowego krytycznego usposobienia, rozróżniającego oceny otoczenia i życia. Dorastający w rodzinie człowiek tylko w ten sposób przyswaja sobie wartości, zasady rozróżnienia tego, co dobre, a co złe. Budzi się intuicja moralna, sumienie. Jeśli w tym czasie młody człowiek nabiera rozumienia i odczuwania wartości moralnych, zasad i norm, uzyskuje swoją bezpieczną pozycję w przyszłym życiu. Dopiero wówczas będzie mógł śmiało wyjść z owej cieplarni rodzinnej, opuścić więzi owej ufnej swojszczyzny i poczuć się bezpiecznie w większych i szerszych kręgach życia. Doznane w rodzinie ciepło decyduje o przyszłej ufności do ludzi, odrzucającej wielką agresję.

Znaczenie autorytetu dla rozwoju

Rodzina wymaga powagi, władzy obu rodzicielskich stron. Trzeba o tym przypomnieć, kiedy dostatecznie skompromitowano zasadę tzw. wychowania bez autorytetu. Autorytet oznacza uzna-



w oczach publiczności nie znalazłyby wrażliwości, czułości, a nawet mogłyby się spotkać z lekceważeniem.

Rodzina oddziałuje jako pośrednik, jako jakieś cudowne medium, które rozładowuje napięcia, zwłaszcza gdy młody człowiek, wypielęgnowany w ciepłym kręgu ufności i ciepła, zderzyć się musi z tym drugim, wybiegającym z rodziny szerokim horyzontem świata, z szorstkością, a nawet agresywnością życia coraz bardziej samodzielnego. Stanowi przeciwwagę wobec przeróżnych nacisków społecznych, na jakie bywa wystawiona wątlą jeszcze jednostka

tę, czego rzeczywiście potrzebuje. Wielkie doświadczenie przeżywane przez wszystkich członków obejmuje przede wszystkim wzajemną pomoc, wzgląd na wrażliwość drugiego, samoograniczenie z uwagi na potrzeby drugich. Znaczenie ma oszczędność i wspólne gospodarowanie.

Rodzina jest ośrodkiem rozwoju osobowego dzieci. W niej dokonuje się proces uspołecznienia, wychowania, dzieje się to, co kard. Wojtyła nazywa „obdarzaniem człowieczeństwem”. Tu przede wszystkim dokonuje się ugruntowanie moralne orientacji życiowej

Udział rodziny w rozwoju społeczeństwa

 Dokończenie ze str. 5

ne znaczenie, wewnętrzną wyższość lub przewagę jednego człowieka, dzięki której kieruje on innych w respektowanej wolności do posłuszeństwa i do zależności od rządzącego. Można rozróżnić osobisty autorytet fachowca, profesjonalisty, władzę urzędową na podstawie piastowanego urzędu. Autorytet rodziców jest równy, posiada jednakową rangę. Oznacza to, że posiadają oni prawno-moralne pełnomocnictwo kierowania rodziny w sposób odpowiedzialny. Oznacza to wiele. Rodzice posiadają prawdziwą władzę nad dziećmi. Czy nie brzmi to zbyt twardo? Podstawą jest fakt, że to oni obdarzyli dzieci życiem i poza Bogiem stanowią pierwszą przyczynę wszystkiego. Dzieci należą do rodziców, są niejako ich częścią. Autorytet rodziców stanowi więc władzę pierwotną, a jego powaga zasada się na przekazie życia. Dodajmy, że władza ta rozpoczyna się z chwilą narodzin, trwa zaś do czasu usamodzielnienia się dzieci w ich dorosłym życiu.

Autorytet rodzicielski wyrasta z istoty i zadań rodziny zestawionych przez Jana Pawła II w *Familiaris consortio*. Dla tego członkowie mogą ze sobą współżyć tylko w pewnym ładzie. Ów porządek wymaga odpowiedzialności i troski. Otóż rodzice tylko wówczas mogą zapewnić potrzebny ład, jeżeli są upoważnieni do wydawania rozkazów. Stąd rodzina musi uchodzić za najlepszą szkołę posłuszeństwa. Człowiekowi zaś potrzebne jest posłuszeństwo, ażeby móc żyć dobrze, moralnie, znakomicie. Rodzina obejmuje całego człowieka – bez względu na jego uzdolnienia. Stąd autorytet rodzicielski musi ogarniać rozległe obszary. Może nakazywać to, co konieczne, ażeby rodzina rozwijała się w ładzie oraz ażeby porządek ów stał się obyczajem dzieci. Będzie to taki nawyk, który będą mogły krzewić we własnej rodzinie. Mieści się tu i przyswajanie dzieciom poczucia obowiązku. Bowiernie życie otrzymuje sens dopiero wówczas, kiedy człowiek wie, że spoczywa na nim spełnianie określonych obowiązków. Moc obowiązująca, która ostatecznie sięga Boga, daje poczucie sensu życia.

Rysuje się też i granica rodzicielskiego autorytetu. Rodzice nie są władni, by narzucić dzieciom złe poczynania, wynikające z jakiejś gorszącej dowolności. Im bardziej dzieci dorastają, tym bardziej przybywa im swobody. Wyrastają, wyzwajają się z rodzicielskiej zależności. Dotąd rodzice mogli żądać, ale i na-

gradzać, stanowić normę, ale i zasłużoną premię. Teraz rozpoczyna się czas odradztwa i przestrogi. Wybór zawodu, wybór współmałżonka mogą tylko podlegać doświadczonej radzie, wszak nie rozkazom.

Dopowiedzmy: rodzina jako wspólnota rodziców i dzieci stanowi nierozdzielalną jedność. Jest wspólnotą z natury konieczną. Pochodzenie dzieci stanowi najściślejsze pokrewieństwo. Jedność ta jest przyrodzona, nie powstaje sztucznie. Wiąż rodzinna nie wynika z doboru zysków i interesów, lecz z wewnętrznego zaufania, wierności, przywiązania i miłości. Stąd tak ważna jest naleźycie przyswojona umiejętność przechodzenia z rodziny do sąsiedztwa, szkoły, szerszego społeczeństwa.

W stronę społeczeństwa humanistycznego

Rodzina winna prowadzić do bogato rozwijającego się w społeczeństwie humanizmu. Wzrost człowieczeństwa, a tym samym i wspólnoty narodowej, nie dokonuje się automatycznie. Ażeby rodzina mogła spełnić swoją rolę w rozwoju społecznym, aby mogła się wywiązać ze swego wielkiego posłannictwa, nieodzowna jest duchowa wspólnota małżonków, ich wzajemnie zaufane wspieranie się radą, wreszcie staranna współpraca rodziców przy wychowywaniu dzieci. Tu dopiero widać, ile w tym procesie potrzeba wkładu ze strony ojca. Oczywiście, że domowa pielęgnacja, staranność matki, zwłaszcza wobec mniejszych dzieci, jest niekiedy ważniejsza – bez uszczerbku dla pozycji domowej damy. Wychowanie winno dokonywać się w pełnym rozumieniu przyszłej odpowiedzialności, przyszłego powołania, zawodu, duchowej i umysłowej dojrzałości. Wymaga tego godziwy standard życiowy, który potomek może obrać, ażeby móc założyć szczęśliwą rodzinę.

Spółczeństwo składa się w najpoważniejszej mierze z rodzin. Nie jest amorficzną masą, składa się z narodu i mniejszości narodowych, które dopiero tworzą społeczność. Jej obywatele, członkowie rodzin, oczekują w owej wielkiej społeczności porządku administracyjno-prawnego z respektem dla wrodzonego i stanowionego prawodawstwa, domagają się możliwości umysłowego i duchowego rozwoju poprzez wszystkie szczeble kształcenia od przedszkola aż po uniwersytet i politechnikę, wreszcie żądają dostatku i do-

brobytu, który zapewnia z jednej strony zakład pracy, ciekawa praca i słuszną zapłatą oraz zaopatrzone w poszukiwane, a zarazem tanie towary i dobra gospodarcze rynek, gospodarka. Warunki powodzenia wymienionych przedsięwzięć ma gwarantować państwo, które jako zbiór zorganizowanych instytucji stanowi bezpieczne narzędzie, instrument rozwoju społeczeństwa.

Jest więc państwo instancją rządzącą i porządkującą, której powierzona jest troska o dobro wspólne społeczeństwa. Chociaż rodzina wpływa bezpośrednio na rozwój społeczeństwa, jego struktura prawna winna zabezpieczyć rodzinie możliwości wykonywania jej zadań, czyli stworzyć przestrzeń dla jej praw oraz osłonę jej wartości.

Widać, jak rodzina jako instytucja stanowi istotny, podstawowy element społeczeństwa i państwa. Niekiedy zapominamy, że to, co choćby w załączku poczynia się w rodzinie, co w jej obrębie jest krzewione i pielęgnowane, otrzymuje decydujący wydzźwięk w społeczeństwie. W rodzinie kiełkują i kształtują się społeczno-twórcze i rozwijające społeczność pierwiastki: solidarność grupowa, wierność, zaufanie, rzetelność, poszanowanie dla drugich, zdolność koleżeństwa i współpracy, sztuka podporządkowania i przyporządkowania, bez których to właściwości i cnót spoiwość i współżycie w państwie zanika, ginie w rozkładzie.

Przestrzeń intymności nie może nigdy podlegać – przy zachowaniu ładu – interwencjom legislacyjnym państwa. Obowiązują nie tyle prawne zarządzenia, ile wartości moralne: odpowiedzialność, miłość, wierność, zaufanie. Ich odpowiedzialnie odnajdujemy równoległe w poziomie moralności publicznej, w uznawaniu podstawowych wartości w życiu społecznym.

Jak widać, rodzina nie jest dla społeczeństwa – raczej społeczność jest dla rodziny. Jest podstawową komórką, konstytutywnym pierwiastkiem wspólnoty narodowej. Powinnością państwa jest osłona takich istotnych wartości rodziny, jak ład, godność osoby ludzkiej, zdrowie, powodzenie i szczęście. Prawa rodziny łączą się bezpośrednio z wrodzonymi prawami każdego człowieka, wynikają z jego godności. Jest to osłona przestrzeni życiowej, niezakłócone spełnienie zadań wychowawczych, zapewnienie godziwego poziomu życia, dbałość o ochronę i rozwój, trwałość, stabilność i zdolność do samopomocy.

KS. JAN KRUCINA

Obszerne fragmenty wykładu podczas Wrocławskich Dni Duszpasterskich w sierpniu 2006 r.

Na krawędzi zgubnej ścieżki

GRAŻYNA ŚLĘZAK

Stolica Dolnego Śląska coraz częściej wymieniana jest jako najdynamiczniej rozwijające się polskie miasto. I rzeczywiście – w powojennej historii trudno wskazać okres równie obfitujący we wszelkiego rodzaju inwestycje. Lata pięćdziesiąte były czasem dźwignia Wrocławia z ruin, przywracania życia w fabrykach zniszczonych przez wojnę i ograbionych przez Sowieć. Do drugiej połowy lat sześćdziesiątych nie istniała zabudowa ulic w centrum miasta – Legnickiej, Zachodniej, Powstańców Śląskich. Dekada Gierkowska zaznaczyła się nowymi blokowiskami, które zaczęto wznosić nawet na terenach przewidzianych, w przypadku powodzi, do wypełnienia wodą. Na tym tle jakość, tempo i skala przeobrażeń z ostatnich lat może imponować. Pozwala z optymizmem patrzeć w przyszłość, choć jednak – nie do końca.

Spadek urodzeń powoduje zamykanie kolejnych szkół. Coraz częstszym elementem, nie tylko wrocławskiego krajobrazu, są zamknięte i popadające w ruinę budynki, które jeszcze nie tak dawno tętniły gwarem dzieci i młodzieży. I jakże długo bazy lokalowej dla placówek oświatowych nam brakowało, rodząc konieczność nauczania na dwie lub trzy zmiany! Teraz budynki, które miały więcej szczęścia, doczekały się adaptacji na sklepy, biura lub urzędy skarbowe. A wygląda też na to, że smutne zjawisko „zamierania szkół” będzie się jeszcze nasilało. Wiadomo bowiem już, że ilość uczniów gimnazjów i liceów może do roku 2013 spaść o 30 a nawet 40 procent w porównaniu ze stanem obecnym! Coraz większa część spośród nas na własnej skórze odczuwa już skutki takiego demograficznego trendu. Z powodu spadku liczby dzieci i młodzieży kłopoty z zatrudnieniem mają nie tylko nauczyciele. Na wrocław-

skich uczelniach tysiące studentów kształci się na kierunkach pedagogicznych. Gdzie znajdą pracę, jeśli głęboki niż demograficzny odbiera zatrudnienie nawet czynnym zawodowo nauczycielom? Co roku część z nich odchodzi na emeryturę, ale nowe miejsca pracy w szkolnictwie się nie pojawiają, gdyż szybciej zmniejsza się liczba klas. Coraz bardziej demograficzną zapasę odczuwają producenci odzieży i artykułów dziecięcych. Bankrutują kolejni przedsiębiorcy tej branży, inni redukują zatrudnienie, ograniczają też zamawianie surowców i usług, powodując kłopoty w kolejnych obszarach gospodarki. Zmniejszająca się liczba klientów zmusza do zamykania sklepów z ubraniami dla dzieci, zabawkami, wózkami. Coraz poważniejsze są trudności wydawców książek dla dzieci i podręczników. Spada popyt, a ze sprzedaży mniejszych nakładów nie mogą się utrzymać wydawcy. To samo odczuwają księgarnie. Większość księgarzy z małych miast funkcjonuje głównie dzięki sprzedaży podręczników. Gros małych księgarenek przez większą część roku „jedzie na stratach” i „ratuje sobie życie” coroczną dystrybucją książek szkolnych. Jeśli sprzedaje się ich mniej – brakuje pieniędzy na prąd, czynsz, ZUS i nieraz nie pozostaje nic innego, jak zamknąć księgarnię i szukać innego zajęcia, lub dołączyć do grona bezrobotnych. Identycznie rzecz ma się z producentami i handlowcami branży papierniczej i wielu innych.

Teoretycznie odnotowywany od ośmiu lat spadek liczby Polaków nie jest duży. Ujemny przyrost naturalny mamy dopiero od pięciu lat. Pod koniec 2005 roku było nas tylko o 17 tysięcy mniej, niż rok wcześniej. Jednak to tylko część prawdy. Nasze społeczeństwo w bardzo szybkim tempie się starzeje. To, że ilość Polaków nie zmniejszyła się w ostatnich latach o parę milionów zawdzięczamy tylko jednemu, skądinąd bardzo korzystnemu zjawisku – znacznemu wydłużeniu średniej długości życia, bo aż o 9 lat. Mamy więc dziś niespotykany nigdy wcześniej odsetek osób w wieku starszym. Towarzyszy temu także nigdy wcześniej nie znane zjawisko wyjątkowo małej liczby dzieci. Na razie statystyczna liczba Polaków utrzymuje się więc na w miarę stabil-

nym poziomie, lecz gwałtowne jej załamanie jest perspektywą już niedługich lat. Jeśli obecne tendencje nie ulegną odwróceniu – nasza dynamicznie rozwijająca się dolnośląska metropolia w ciągu najbliższego trzydziestolecia zmniejszy się z obecnych 637 tys. mieszkańców do liczby poniżej połowy miliona. I nie ma najmniejszych wątpliwości, że taki obrót sprawy zaciążyłby na rozwoju miasta i regionu jak najgorzej.

Po to, żeby ludność kraju nie zmniejszała się, statystyczne małżeństwo powinno mieć dwoje dzieci, a matematycznie rzecz biorąc – 2,1 dziecka. Dla tzw. prostej zastępowalności pokoleń ko-



nieczne są więc także rodziny z przynajmniej trojgiem dzieci. Tymczasem w Polsce coraz jaskrawiej rysują się zjawiska dokładnie odwrotne. Statystyczne małżeństwo ma już poniżej 1,4 dziecka. Do tego, jak się szacuje, około dwóch milionów młodych ludzi wyjechało z kraju. Daj Boże – większość wróci. Jednak strumień emigracji wcale nie skończy się wraz z nasyceniem Polakami firm Anglii i Irlandii. Całe mnóstwo młodzieży kształci się dziś z myślą o skorzystaniu ze zbliżającego się otwarcia dla niej rynku pracy w kolejnych krajach. Zawodowe szkoły gastronomiczne, samochodowe, budowlane, mechaniczne – oblegane są przez nastolatków, których duża część dokonuje wyboru zawodu, planując jego wykonywanie już poza granicami swojej ojczyzny.

Niekorzystne zjawiska demograficzne zachodzą nieomal przy aplauzie znacznej części ludzi polityki. Sprzyja im także działalność większości mediów. Nie może ruszyć z miejsca żaden prawdziwie prorodzinny projekt. Więcej

Na krawędzi...

 Dokończenie ze str. 7

uwagi poświęca się walce o nadanie „związkom jednopłciowym” praw własnych rodzinom, niż trosce o następne pokolenie. Każde działanie na rzecz wychowania patriotycznego powoduje furię kpín i pogardliwych ataków. A przecież dziś, kiedy tak wiele naszej młodzieży opuszcza ziemię ojców, wyjątkowego znaczenia nabiera umacnianie świadomości swoich korzeni, budowanie silnych związków z narodową tradycją, przekazywanie wiedzy o historycznej tożsamości. Także „publiczne” radio i telewizja włączyły się w kampanię na rzecz krzewienia tego, co od lat jest coraz bardziej potężne – kultu egoizmu i konsumpcji. Na wszystkich kanałach mnożą się programiki w rodzaju „Pięć minut tylko dla siebie”, zawsze prowadzone przez osoby, po których już na pierwszy rzut oka widać, że myślą głównie o sobie i dbają przede wszystkim o siebie nie przez żadne pięć minut, ale przez większą część każdego dnia. Kioski pękają od gazet otwarcie wysmiewających „ciężary” takie, jak rodzina czy posiadanie dzieci. Kulturywują inne „życiowe cele” – ciuchy, pretensjonalne wnętrza, plażowanie pod palmami. Nie byłoby w tym niczego niegodziwego, gdyby nie towarzyszył temu równoległy, uparty przekaz, według którego wygodne życie jest wartością wyższą od życia rodzinnego, dziecko jest równoznaczne z przekreśleniem szansy na sukces, stabilne małżeństwo to utopia, przeżytek i nuda a rodzina wielodzietna jest synonimem rodziny patologicznej. Niestety – spora część naszych rodaków na tego rodzaju propagandę jest w niepokojącym stopniu podatna.

Od nas samych zależy, czy staniemy się społecznością krzewiącą postawy samolubne i wygodnickie, czy ukształtujemy swoje życie na negacji odwiecznych wartości. Od naszych życiowych decyzji też zależy, czy ktoś będzie kontynuował dzieło naszego ziemskiego bytowania. Wystarczy znać elementarną arytmetykę, by zauważyć, że jeśli statystycznych stu Polaków będzie miało, tak jak dzisiaj, niewiele więcej, niż sześćdziesięcioro dzieci – to wnucząt będzie raczej nie więcej niż czterdzieścioro. A generacja następująca po wnukach może się okazać już tak mała, że pod dużym znakiem zapytania stanąć może dalszy ciąg naszych ponadtyślatnich dziejów. Jakaż to „moda” i w imię jakich to „wartości” wchodzimy na ścieżkę, prowadzącą, być może, w takim właśnie kierunku?

GRAŻYNA ŚLĘZAK

Dolnośląskie cmentarze

ARTUR ADAMSKI

To prawda, że ojczyzna to ziemia i groby. 60 lat temu miliony Polaków stanęły jednak przed koniecznością opuszczenia ziemi, kryjącej prochy wielu pokoleń przodków. A częścią nowego miejsca zamieszkania także okazały się być - między innymi - mogiły. Opuszczone tak, jak groby naszych ojców ze Stanisławowa czy Lwowa. Różny był ich los w czasach, gdy wspomnienie wojny było codziennym, ciągle żywym koszmarem. Czasem kojarzyły się z narodem, którego wojska przyniosły niewyobrażalne zbrodnie w masowej skali. A to utrudniało zachowanie szacunku nawet dla niektórych miejsc stanowiących nienaruszalne *sacrum*.

Zdarzało się też, że przez wiele miesięcy w tym samym domu mieszkali wysiedleni ze swego miasta lwowianie i żegnający się z *heimatem* breslauerzy. Doświadczenie takie owocowało czasem dostrzeżeniem podobieństw powojennego losu. Mogiły rodzin niemieckich Ślązaków, zbliżonych zażyłością z polskimi osadnikami, często przez długie lata pozostawały pod opieką. Ocalały też często groby tych, których potomkowie po 1945 roku Dolnego Śląska nie opuścili. A także, szczególnie na cmentarzach parafialnych, mogiły osób duchownych. Częściej jednak los starych cmentarzy był bardzo smutny. Zanim jednak sięgniemy pamięcią do związanych z nimi wydarzeń zaznaczyć trzeba, że nielogiczne i ahistoryczne jest przykładanie jakichkolwiek dzisiejszych miar do zniszczeń dokonanych w latach czterdziestych czy pięćdziesiątych. Boleśnie aktualny był przecież wówczas kontekst milionów ofiar hitlerowskiego ludobójstwa, Warszawy zamienionej w wypaloną pustynię i częściowo zrealizowanego Generalplan Ost, mającego doprowadzić do unicestwienia narodu polskiego. W obliczu formy i skali tych zbrodni przez szereg lat powszechny był pogląd odmawiający sąsiadom z zachodu prawa do posiadania własnej państwowości i, wbrew zasadom ortografii, przyjmował się zwyczaj pisania słowa „Niemiec” małą literą. Tak daleko posunięte wykluczenie całego narodu nie było bynajmniej pomysłem Polaków a miało swój wyraz w faktach takiego rodzaju, jak na przykład igrzy-

ska olimpijskie. Społeczność międzynarodowa nie pozwoliła reprezentacji Niemiec uczestniczyć w londyńskiej olimpiadzie z 1948 roku. Niewiele brakowało, by podobnie potraktowano Niemcy także w roku 1952. Międzynarodowa anatema wciąż była aktualna, lecz zwyciężyła już amerykańska wizja powojennego ładu, właśnie Niemcom oddająca rolę uprzywilejowaną. Po długotrwałych sporach Międzynarodowy Komitet Olimpijski zdecydował, że na helsinkijskich igrzyskach niemiecka reprezentacja wystartuje tylko w niektórych konkurencjach i składała się będzie głównie z kobiet. Warto znać nastroje tych czasów, poddając ocenie skądinąd oczywiście niechlubną dla nas sprawę zniknięcia na Dolnym Śląsku wielu niemieckich cmentarzy.

W 1945 roku w granicach Wrocławia znajdowało się około czterdziestu czynnych miejsc pochówkowych. Niektóre z nich miały charakter nekropolii historycznych. Między ulicą Legnicką a Braniborską znajdował się cmentarz zasłużonych wrocławian, na którym wieczny spoczynek znaleźli między innymi burmistrzowie i architekci, wśród nich na przykład Karl Langhans, twórca wielu dolnośląskich świątyń i pałaców a także berlińskiej Bramy Brandenburskiej. Budzącą wstyd pamiątką po miejscu spoczynku wielu wybitnych obywateli miasta są dziś kamienie, od dziesięcioleci stanowiące elementy małej architektury osiedla Szczepin. W innej części miasta, na cmentarzu świętego Bernarda, spoczywał m.in. wielki pi-



Wrocławski cmentarz żydowski, fot. Jakub Rok

sarz – polonofil Karol Holtei. Nagrobki z tej nekropolii spotkać dziś możemy w murach wybiegów ogrodu zoologicznego oraz nabrzeżach zbiorników wodnych Parku Szczytnickiego. Nie przynosi to nam chwały, ale też nie jest to przejaw jakiejś naszej rodzimej, wyjątkowej znieczulicy. Polskie kamienie nagrobne i na wschodzie i na zachodzie spotykał jeszcze gorszy los.

W bardzo wielu punktach Wrocławia, idąc przez pełne bloków osiedle czy park – mijamy groby ukryte pod trawnikami, skwerami, drzewami. Starsi wrocławianie pamiętają, że mały park przy stacji Mikołajów to cmentarz, kryjący ofiary epidemii cholery, jaka wybuchła w 1831 roku. Kolejny znajdował się tuż obok – przy Placu Strzegomskim. Wielkim zespołem cmentarzy był dzisiejszy ciąg parków – od ulicy Wejherowskiej aż do Pilzyc. Kilka parafii katolickich miało swoje miejsca pochówkowe na południe od ulicy Kamiennej. Dziś tradycję tę kontynuuje tylko cmentarz parafii Świętego Maurycego, znajdujący się przy ulicy Działkowej.

Warto mieć świadomość, że o dawne miejsca spoczynku ocieramy się niemal każdego dnia. Do XVIII wieku cmentarz otaczał niemal każdą świątynię. Chodzimy więc po grobach idąc obok gmachu PDT, podążając przez plac Nankiera, udając się do kościoła Świętej Elżbiety, mijając farę Świętej Marii Magdaleny. Parkując samochód pod pocztą przy ulicy Krasieńskiego wysiadamy najprawdopodobniej w miejscu jednego z średniowiecznych cmentarzy. Kilka innych „przejeżdżamy”, jeśli zdarzy nam się podróżować Aleją Armii Krajo-

wej między Borowską i Ślężną, mknąc południową jezdnią ulicy Legnickiej w miejscu, gdzie dochodzi do niej ulica Dobra czy tam, gdzie ulica Zachodnia zbiega się z ulicą Szczepińską. Wrocław nie jest tu jakimkolwiek wyjątkiem. Podobnie jest w każdym mieście o dłuższej historii. Dla przykładu Warszawa, mimo iż przeszłość ma krótszą, w znacznie większym stopniu stanowi wielki, zabudowany cmentarz. Zdołano ekshumować tylko część z dziesiątków tysięcy ciał pochowanych w czasie Powstania z roku 1944. W pierwszych tygodniach sierpnia tego roku hitlerowcy wymordowali ogromną część mieszkańców Mokotowa i Woli. Zwłoki palono na stosach. Popioły tysięcy zabitych to dziś część gruntu na wielkich połaciach stolicy. I dość podobnie jest we Wrocławiu. Tajemnicą poliszynela jest to, że ekshumacje żołnierzy poległych w czasie walk na ulicach Festung Breslau, często dokonywane były bardzo niedbale. Wielokrotnie, przy okazji różnego rodzaju prac ziemnych, natrafia się na wojenne groby.

Zupełnie nieuzasadnione są opinie, według których los wrocławskich cmentarzy żydowskich może służyć za przykład potwierdzający tezę o rzekomym polskim antysemityzmie. W rzeczywistości żydowskie nekropolie na Dolnym Śląsku przetrwały w stanie nieporównanie lepszym, niż katolickie czy ewangelickie. Z trzech wrocławskich – zniknęła tylko jedna, która znajdowała się przy ulicy Gwarnej i, jak większa część okolicy, została sponiewierana w czasie wojny. Cmentarz przy ulicy Ślężnej w czasach PRL-u traktowany był ha-

niebnie. Niszczyli go wandalę indywidualni i zorganizowani. Tymi drugimi byli komunistyczni notable, mocą decyzji których podjęto eksploatację kamienia z nagrobków a także, krótko przed wpisaniem obiektu na listę zabytków, wysadzono w powietrze dom pogrzebowy. Spustoszenia dokonała też ekipa filmowa – tu właśnie nagrywająca jeden z odcinków serialu *Cztery pancerni i pies*. Szczęśliwie jednak te niszczycielskie zapędy udało się powstrzymać i miejsce spoczynku wielu wrocławskich Żydów jest dziś najwspanialszą nekropolią nadodrzańskiej stolicy.

Na dolnośląskich cmentarzach znaleźć można było unikatowe dzieła sztuki sepulkralnej. Nieporozumieniem jest jednak zestawianie ich z pomnikami Powązek, Rossy czy Łyczakowa. Artystyczna klasa polskich nekropolii była nie do porównania z większością dziewiętnastowiecznych cmentarzy Europy. W czasach niewoli nasi najwybitniejsi rzeźbiarze nie mieli szansy wykonywania zleceń publicznych, na przykład pomników. Rzeźbą nagrobną zajmowali się więc często nie rzemieślnicy czy kamieniarze, jak to miało miejsce w krajach niepodległych, lecz najwybitniejsi mistrzowie dłuta. We Wrocławiu zdarzało się to znacznie rzadziej, niż w Warszawie czy Krakowie. Sztuka sepulkralna dolnośląskich nekropolii miała swą klasę, ale w wyjątkowych tylko wypadkach dałaby się zestawić z rzeźbami Cypriana Godebskiego, Piotra Kozakiewicza, Stefana Jarzymowskiego czy innych mistrzów, których dzieła pozostawiliśmy na Kresach. Niemniej jednak szkoda wielka, że dawne groby i stojące na nich kamienie, w większości bezpowrotnie zniknęły. Akcję „zacierania śladów niemieczyny” do pewnego stopnia można zrozumieć zważywszy, że dokonywana była przez tych, którym niemieczyna kojarzyła się ze zniszczeniem i śmiercią bliskich. Wraz z tym „zacieraniem” wymazano jednak i wiele śladów polskości. Wielka część dawnych mieszkańców naszego regionu miała bowiem polskie korzenie i często bardzo wyraźnie świadczyło o tym brzmienie wielu nazwisk. Na Osobowicach stoją do dziś żeliwne krzyże śląskich pułków z pierwszej wojny światowej. Większość widniejących na nich nazwisk wcale nie kojarzy się z językiem niemieckim.

Od kilkunastu lat bardzo korzystnie zmienia się klimat wokół nawet najbardziej „jednoznacznie niemieckich” cmentarzy i grobów. Oby nie popsuli go podpalacze mostów polsko-niemieckiego pojednania, w rodzaju Rudiego Pavelki czy Eriki Steinbach. Na przekór wywo-

Dolnośląskie cmentarze

☞ Dokończenie ze str. 9

tywanym przez takie postacie emocjom – odbudowywane są na Dolnym Śląsku te z cmentarnych pamiątek, które mają jeszcze szanse jakiejś rekonstrukcji. Często inicjatywy tego rodzaju są wynikiem spontanicznych, nieformalnych inicjatyw. W Obornikach Śląskich sąsiaduje ze zniszczonym cmentarzem dom artystów malarzy – Jolanty i Zdzisława Nitków. Pani Jola od początków swojego zamieszkiwania w pobliżu starych grobów stara się *żyć ze zmarłymi w zgodzie*. Choć niektórzy w okolicy utrzymują, że nad grobami widywano przerażające zjawy – żyjąca tuż obok rodzina jest pełna całkowitego spokoju. *Utrzymujemy dobre stosunki z cmentarnym sąsiedztwem. Nie wiążemy z nim żadnych obaw, bo regularnie odmawiamy modlitwę w intencji spoczywających tu zmarłych* – powiedziała kiedyś malarka, podpisująca swe obrazy: *Jolanta Nikt*. Stary obornicki cmentarz nie odzyska już swego dawnego kształtu, ale kilka lat temu stanął na nim pomnik, poświęcony spoczywającym na nim ludziom. Podobne postawiono na wielu już dawnych miej-

scach pochówku. We Wrocławiu powstaje też lapidarium, złożone z dawnych nagrobnych płyt, które w różnych miejscach doczekały dzisiejszych czasów. Jakaś część cmentarnego wątku wrocławskich dziejów zostanie więc odtworzona i ocaleje...

Żyjemy pośród grobów. Walec dziejowych katastrof sprawiał często, że przestrzeń sakralna na trwałe przemieniała się z codziennym „profanum”. Uporządkowanie, rozdzielenie tych dwóch światów często nie jest już wykonalne. A może to właśnie tak ma być? Może wynikać ma stąd dla nas wniosek, że świat zmarłych wcale nie jest tak odległy od naszego? I jeśli, chcąc nie chcąc, codziennie ocieramy się o ukryte pod glebą prochy, zatarte mogiły – powinno nam to przypominać o tym, że wśród żywych jesteśmy tylko tymczasowo. I że wszystko, co na tym świecie posiadamy, jest tylko rodzajem ograniczonej w czasie dzierżawy?

ARTUR ADAMSKI



Fot. R. Lazarowicz

Od połowy XIV wieku jednym z popularniejszych świętych czczonych na Dolnym Śląsku jako jego patron stał się praski biskup Jan z Nepomuka, znany głównie jako św. Jan Nepomucen (ok. 1350-1393). Zrzucony z Mostu Karola do Wełtawy na rozkaz czeskiego władcy Wacława IV Luksemburskiego za dochowanie tajemnicy spowiedzi stał się symbolem powściągliwości w słowach oraz – z racji okoliczności tragicznej śmierci – opiekunem chroniącym przed żywiołami wodnymi, głównie powodziami. Już wtedy na całym Dolnym Śląsku, wchodzącym wówczas w skład Korony Czeskiej, rozpoczęło się masowe stawianie pomników św. Jana Nepomucena, głównie przy przeprawach wodnych: w pobliżu rzecznych brodów i na mostach. Warto zauważyć, że formalna beatyfikacja Nepomuka przeprowadzona została w 1721 (lub w 1723) roku, a kanonizacja – w roku 1729.

Wrocław leżący nad wieloma odnogami Odry i jej pięcioma dopływami doczekał się co najmniej pięciu figur świętego. Spośród nich najbardziej znane są pomniki autorstwa czeskiego rzeźbiarza Jana Jerzego Urbańskiego przed kościoła św. Krzyża (1730-1732) i kościoła św. Macieja (1675). Mniej znane są rzeźby patrona Dolnego Śląska przed kościołem św. Maurycego (1729) oraz w Leśnicy przed miejscowym zamkiem.

Do niedawna niemal całkowicie zapomniany przez wrocławian był kolejny posąg świętego, ustawiony na peryferiach Wrocławia pod Laskiem Osobowickim. Rzeźba stała w malowniczym otoczeniu starych lip, ogrodzona metalowym XIX-wiecznym płotkiem.

Śmiało można uznać, że osobowicki św. Jan Nepomucen jest niespotykanym poza Wrocławiem barokowym odpowiednikiem średniowiecznego krzyża pokutnego! Ówczesny złoczyńca na miejscu zabójstwa musiał postawić kamienny krzyż z wyrytym na nim narzędnikiem zbrodni; miało to pomóc w uzyskaniu bożego zmiłowania. Oczywiście dodatkowo ponosił bardziej wy-

Zapomniany osobowicki święty Jan z Nepomuka

RYSZARD TROSCZYŃSKI

mierne kary finansowe, które zapewniły rodzinie ofiary możliwość przeżycia.

W przypadku omawianego pomnika okoliczności jego powstania były zbliżone: Działający na Dolnym Śląsku norweski rzeźbiarz Thomas Weissfeldt (1670-1721) w 1715 roku pracował przy renowacji klasztoru klarysek i mauzoleum Piastów wrocławskich przy dzisiejszym pl. Nankera. W przypływie szału ciężko pobił swego młodocianego pomocnika, na dodatek dłułem obciął mu rękę. Za swój czyn poniósł dotkliwą karę finansową, która jednak dla Weissfeldta nie była zbyt dokuczliwa. Rzeźbiarz był bowiem człowiekiem niezwykle majątnym: dorobił się fortuny, zdobiąc kościoły w Kamieńcu Ząbkowickim i w Jeleniej Górze. We Wrocławiu jego prace zachowały się w kościele Bonifratrów (ołtarz główny, konfesjonał, statua św. Nepomuka) oraz w kościele Bożego Ciała, dla którego wykonał ołtarz św. Józefa. Aby mocniej odczuć karę i odpokutować swój czyn – na wniosek przeoryszy klarysek Brygidy von Strachwitz zobowiązany został dodatkowo do sfinansowania materiału i własnoręcznego wykonania kamiennej figury św. Jana Nepomucena.

Już w 1716 roku gotowy posąg świętego ustawiono przed Bramą Mikołajską. Po kilku latach pomnik przedstawiono nieco dalej na zachód, w rejon dzisiejszej ul. Rybackiej. Jednak i tam nie było świętemu pisane zostać dłużej: w 1746 roku z powodu fryderycjańskiej rozbudowy fortyfikacji miejskich w uroczystej procesji figurę św. Jana Nepomucena przeniesiono na Osobowice. Warto zaznaczyć, że tereny wzdłuż obecnej ul. Legnickiej, jak i całe Osobowice, były własnością klarysek aż do 1810 roku, do sekularyzacji majątków kościelnych i klasztornych.

Naturalnej wysokości piaskowcowa postać świętego ubrana jest w sutannę, komżę i pelerynkę. W prawej ręce trzyma krzyż, w lewej – połączony liść palmy. Nad głową – złociona aureola z gwiazdami. Ma też kłódkę – symbol dochowania tajemnicy i milczenia. Na cokole, u stóp świętego, umocowano tarczę herbową z baranem (kozłem?), być

może godłem wrocławskiej rodziny von Maas. Na cokole umieszczono również nieczytelny dziś napis.

Św. Jan Nepomucen na nowym miejscu mógłby stać spokojnie kolejne lata, lecz w 2004 roku został przestawiony na teren parku przy kościele św. Teresy od Dzieciątka Jezus przy ul. Osobowickiej. Przyczyna była prosta: informacja o konieczności przeprowadzenia prac renowacyjnych, zamieszczona w osiedlowym biuletynie „Na Oświciu”, wyraźnie wzbudziła zainteresowanie posągiem. Żle się jednak stało, że Nepomukiem zajęli się złodzieje. Wykradzenie całego pomnika, tak ze względu na jego wielkość, jak i na wagę, byłoby kłopotliwe. Od czego jednak „zawodowa” przebiegłość Nie można zabrać całości – kradnie się fragment. I tak w łapy profanów trafiła kamienna tarcza herbowa, która znalazła się na giedzie staroci. Wygórowana cena skutecznie odstraszyła potencjalnych klientów-paserów, więc pokruszony kartusz znalazł się gdzieś w krzakach. Oderwany zniszczony fragment pomnika udało się prawie cudem odzyskać, może dzięki wstawiennictwu, opiece i pomocy niebiańskiego kolegi św. Jana Nepomucena – św. Antoniego. Szkoda, że będący symbolem dochowania tajemnicy sam św. Nepomuk nie chce zdradzić dzikusów...

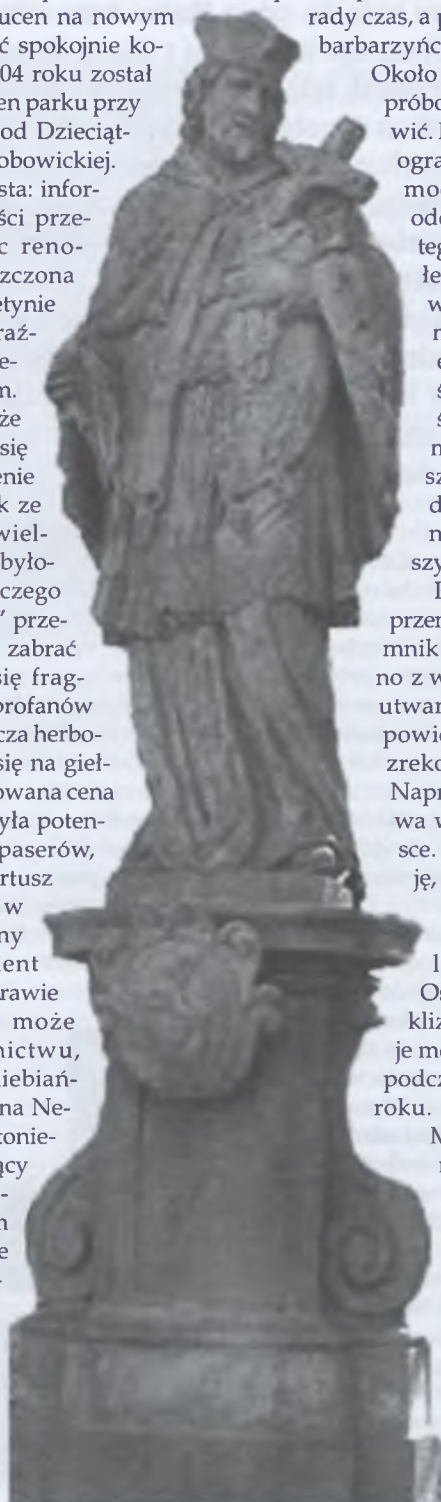
I pomyśleć, że „nasz” Nepomuk nieuszkodzony przetrwał kilka przeprowadzek, trzy wojny

śląskie i dwie światowe, wojnę z Napoleonem, sekularyzacją. Spokojnie stał i powoli porastał mchem. Nie dał mu rady czas, a pokonali współcześni barbarzyńcy!

Około 1970 roku nieudolnie próbowano pomnik odnowić. Niestety, „renowacja” ograniczyła się do przymocowania cementem oderwanej głowy świętego i pomalowania całego pomnika jaskrawymi farbami olejnymi. Działania te dały efekt dość upiorny: śnieżnobiała twarz świętego z czarnym makijażem mogła straszyc nocami niesforne dzieci. Złodziei jednak nie potrafiła odstraszyc...

Przy okazji ostatnich przenosin w 2004 roku pomnik fachowo oczyszczono z warstw brudnej farby, utwardzono łuszczącą się powierzchnię piaskowca, zrekonstruowano ubytki. Naprawiona tarcza herbowa wróciła na stare miejsce. Trzeba mieć nadzieję, że po tych wszystkich zabiegach św. Jan Nepomucen kolejne stulecia będzie chronił Osobowice przed kataklizmami. Przecież swoje możliwości pokazał już podczas powodzi w 1997 roku.

Mimo wszystko żal, że nowa lokalizacja pomnika spowodowała nieodwracalną utratę nastroju melancholii, zadumy i – przede wszystkim – spokoju, towarzyszącego Nepomukowi pod świętym Wzgórzem.



Początki duszpasterstwa Ojców Karmelitów Bosych we Wrocławiu

EWA SUDLITZ

Jest we Wrocławiu kościół, gdzie Matka Boża odbiera hołdy w kopii cudami słynącego wizerunku z Ostrej Bramy. Cześć Maryi z Ostrej Bramy przynieśli tutaj przybysze ze Wschodu po II wojnie światowej. Przybyli do Wrocławia karmelici bosy, którzy byli kustoszami tego sanktuarium w Wilnie, na prośbę licznej grupy wilnian umieścili kopię obrazu w swojej świątyni i zbudowali specjalny ołtarz na podobieństwo Ostrej Bramy. Na miejsce pobytu wybrali poprotestancki kościół 11 Tysięcy Dziewic o ponad 550-letniej historii. Kościół ten do roku 1945 służył duszpasterstwu ewangelickiemu. Po wojnie ewangelicy zrzekli się zarówno kościoła, jak i położonego obok domu, zajmowanego przez pastora. Oba obiekty objęli wówczas karmelici bosy. Od sześćdziesięciu już lat prowadzą tutaj działalność duszpasterską.

Odbudowa kościoła i zorganizowanie przy nim klasztoru Karmelitów Bosych związane są z osobą o. Kolumbana (Józefa) Węgrzyna, karmelity, ówczesnego kapelana WP we Wrocławiu. Kapłan ten uzyskał od ewangelików akt zrzeczenia się własności kościoła i położonego obok domu. Przekazania świątyni i domu parafialnego dokonano 23 IV 1946 roku po otrzymaniu zgody Pełnomocnika Konsystorza Polskiego Kościoła Ewangelickiego na oddanie obiektów na cele katolickiego duszpasterstwa wojskowego.

Mimo przekazania świątyni i domu parafialnego w jego części w dalszym ciągu zamieszkiwali, aż do wyjazdu do Niemiec jesienią 1947 roku, pracownicy parafii ewangelickiej, urządzając na parterze budynku tymczasową kaplicę i prowadząc jeszcze działalność parafialną. Ewangelicy odprawiali nabożeństwa, prowadzili przedszkole dla dzieci niemieckich, organizowali koncerty muzyczne, zatrudniali kilkunastu pracowników.

Kościół pw. 11 Tysięcy Dziewic był drugim, po kościele Świętej Elżbiety, przekazanym na cele duszpasterstwa wojskowego. Kapłan wojskowy o. Józef Węgrzyn, członek Zakonu oo. Karmelitów Bosych, do pomocy w przystosowaniu świątyni do kultu katolickiego i usunięciu zniszczeń oraz w duszpaster-

stwie sprowadził do Wrocławia swoich braci zakonnych. Karmelici bosy pozostawili na dawnych ziemiach polskich na wschodzie cztery klasztory: we Lwowie, Madziole, Wilnie i Wiśniowcu. Wrocław stał się jednym z nowych miejsc ich pobytu. W maju 1946 roku o. Józef Prus, prowincjał zakonu zwrócił się do administratora apostolskiego we Wrocławiu, ks. Karola Milika z prośbą o zezwolenie na osiedlenie się we Wrocławiu kilku kapłanów Zakonu Karmelitów, w celu niesienia pomocy w duszpasterstwie o. Kolumbanowi, kapelanowi wojskowemu, w kościele garnizonowym św. Józefa. Propozycja została przyjęta z en-

tuzjazmem, w piśmie ks. Milika znajduje się następująca zgoda: *Chętnie wyrażam zgodę na osiedlenie się Zakonu we Wrocławiu i z radością przywitam przybycie większej grupy kapłanów, gotowych do pracy pionierskiej na niwie kościelnej.*

Świątynia pw. 11 Tysięcy Dziewic, tak jak i cała otaczająca dzielnica nie uległa w czasie działań wojennych wielkim zniszczeniom. Naprawy wymagał dach, okna i drzwi, a także wnętrze świątyni. Ojcowie karmelici bosy przybyli do Wrocławia 15 IV 1946 r. na prośbę kapelana wojskowego, o. Józefa Węgrzyna. Sporządzono wówczas umowę następującej treści: *Wobec braku zainteresowania się kościołem poprotestanckim, znajdującym się przy ul. Ołbińskiej we Wrocławiu przez Duszpasterstwo WP Zakon oo. Karmelitów Bosych zobowiązuje się własnymi funduszami doprowadzić zniszczony w 40% obiekt kościelny do stanu używalności, w zamian za to oo. Karmelici Bosi zostają gospodarzami tego kościoła, zabezpieczając jednocześnie używanie kościoła dla potrzeb religijnych wojska. Usunięciem zniszczeń, w czym wydatnie pomagali żołnierze, kierował o. Bogusław Woźnicki, pierwszy przełożony karmelitów bosych we Wrocławiu. O. Bogusław przybył do Wrocławia w grudniu 1945 roku w celu poszukiwania pomieszczenia dla siostr karmelitanek bosych przybyłych ze Wschodu. Dzięki niemu siostry zamieszkały*



początkowo przy ul. Biegasa, wkrótce jednak przeniosły się do domu przy ul. Karłowicza 1, gdzie urządziły klasztor istniejący do dzisiaj. Dzięki jego zabiegom kościół przejęty od protestantów szybko został przystosowany do katolickiego kultu i pierwsza Msza św. odprawiona została w niedzielę 5 maja 1946. Uczestniczyło w niej tylko kilkadziesiąt osób, gdyż niewielu jeszcze mieszkańców wiedziało o otwarciu kościoła. W następną niedzielę, gdy wysłano na ulice ministrantów, ubranych w komże i dzwonekami ogłaszających, że kościół jest już czynny, świątynia napełniła się ludem Bożym. O godzinie

janiem życia wewnętrznego dusz. Budynek świątyni i dom parafialny były sukcesywnie remontowane, a kościół przystosowywany do spełniania kultu katolickiego. Pierwsze naprawy poczynili już ewangelicy, aby uchronić obiekt przed większymi zniszczeniami. Jeszcze w 1945 roku i w początkach 1946 został naprawiony dach oraz wewnętrzne instalacje domu parafialnego. Przybycie karmelitów oznaczało rozpoczęcie intensywnych prac remontowych. Na początku zbudowano prowizoryczny ołtarz, ustawiono ambonę, przenosząc ją z centralnego usytuowania protestanckiego na prawą stronę ołtarza, na-

we i naprawy. Absorbowały one czas i siły ojców w nie mniejszym stopniu, co praca duszpasterska. Kościół stawał się coraz piękniejszy, przyciągał wiernych, zarówno swoją urodą jak i szczególną życzliwością pracujących tu ojców. Ostra Brama, nabożeństwa do Matki Bożej Szkaplerznej, nabożeństwa do św. Józefa, nabożeństwa związane ze świętymi Karmelu, ciągła obsługa konfesjonau, udział wojska w wielu uroczystościach kościelnych, często z orkiestrą wojskową, a później orkiestry tramwajarzy, gromadziły licznych wiernych.

Pierwsze ślady starań o powstanie parafii sięgają roku 1950, kiedy to ks. Jabłoński, kanclerz kurii zwrócił się z taką propozycją do rektora kościoła Opieki Św. Józefa, o. Jacka od św. Józefa. Po uzyskaniu zgody prowincjała sprawa wróciła do kurii. Objęcie parafii uzależnione zostało od ustosunkowania się do niej duszpasterstwa wojskowego, z którym kościół był związany. Przepuszczalnie opinia ta nie była pozytywna, gdyż dalszych śladów w tej sprawie brak. Kolejna próba utworzenia parafii była w 1958 roku, gdy ksiądz arcybiskup B. Kominek zwrócił się do prowincjała karmelitów bosych z propozycją utworzenia parafii i powierzenia jej oo. karmelitom. O. prowincjał odpowiedział jednak, że stosownie do Konstytucji Zakonnych nie wolno im przyjmować parafii, wyjąwszy kraje misyjne, dodał, że to stanowisko może zmienić jedynie Definitorium Generalne w Rzymie, dlatego wstrzymuje się z ostateczną odpowiedzią do czasu nadejścia orzeczenia. Odpowiedź była odmowna. Pertraktacje w kierunku zmiany tego stanowiska jednak trwały. Po rozmowach ks. arcybiskupa z generałem zakonu w Rzymie jesienią 1965 roku uzyskano zgodę. Ostatecznie wieloletnie starania doprowadziły do erygowania parafii 1 I 1966 r. Jej pierwszym administratorem został mianowany o. Stanisław Kamiński.

Mówiąc o organizacji życia parafialnego, trzeba wspomnieć o trudnościach związanych ze świątynią i domem oraz duszpasterstwem, jakich doświadczali karmelici ze strony władz. Po początkowym okresie, kiedy Kościół był sprzymierzeńcem dla władz, polityka państwa komunistycznego poszła w kierunku ograniczania wpływów Kościoła. Znalazło to swój wyraz również w losach tej parafii. Kościół poewangelicki 11 Tyśięcy Dziewic został w roku 1946 przekazany duszpasterstwu wojskowemu. Istnienie umowy pomiędzy duszpasterstwem wojskowym a Zakonem Karmelitów, na podstawie której przybyli oni



10.00 o. Józef Węgrzyn odprawił Mszę dla wojska, które przybyło z orkiestrą, najlepiej obwieszając otwarcie kościoła. Kościół otrzymał wezwanie św. Józefa, szczególnego patrona zakonu.

Wkrótce po rozpoczęciu duszpasterstwa przez oo. karmelitów kościół stał się dla mieszkańców okolicznych ulic ich świątynią, mimo że nie było tutaj parafii. Dzielnica była już od 1945 roku gęsto zaludniona. Mieszkańcy uczęszczający do kościoła Opieki św. Józefa przybyli do Wrocławia w dużej części z dawnych terenów wschodnich: z archidiecezji lwowskiej, łuckiej, pińskiej i wileńskiej, jak również z Wielkopolski, kieleckiego, krakowskiego, warszawskiego. Były to osoby wyrwane ze swoich dotychczasowych środowisk, dla nich kościół był czynnikiem integrującym w nowym, obcym otoczeniu.

Ojcowie karmelici stworzyli żywy ośrodek religijny. Chętnie pomagali również okoliczne parafie w razie potrzeby, a także pełnili podczas wszystkich nabożeństw ciągłą posługę w konfesjonale, pracując zgodnie ze swoim szczególnym powołaniem nad rozwi-

prawiono ławki, zrobiono nowe drzwi i okna, zabezpieczono dach, uruchomiono częściowo organy. W krótkim czasie wykonano niezbędne remonty i naprawy. Zbudowano cztery nowe ołtarze: św. Józefa, Matki Bożej Ostrobramskiej, Najświętszego Serca Jezusa i Niepokalanego Serca Maryi. Kościół został wyposażony w liczne obrazy i drogę krzyżową. Projektantem ołtarzy był inżynier architekt Witold Rawski, wykonanie powierzono Antoniemu i Aleksandrowi Comollom, Włochom osiedlonym od 30 lat we Wrocławiu. Jako pierwsze powstały: ołtarz główny i ołtarz w kaplicy Matki Bożej Ostrobramskiej. Poświęcenia tego drugiego wraz z kopią obrazu Matki Bożej Miłosierdzia z Ostrej Bramy, wykonaną przez s. Marcelinę karmelitankę z Sosnowca, dokonał ks. kardynał Milik w dniu 9 XI 1947 roku. Boczne ołtarze zostały ukończone na początku 1948 roku, obrazy do tych ołtarzy wykonała również s. Marcelina. Wokół głównego ołtarza i prezbiterium ustawiono rzeźbioną, marmurową balustradę. W pierwszych latach nieustannie prowadzono jakieś prace remonto-

Początki duszpasterstwa Ojców Karmelitów Bosych

☞ Dokończenie ze str. 13

do Wrocławia i rozpoczęły prace zostało zakwestionowane, w dniu 2 X 1948 otrzymali pismo dotyczące oddania zarządu kościoła. Kilkutygodniowa korespondencja w tej sprawie pomiędzy duszpasterstwem wojskowym a zakonem nie doprowadziła do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy, został jedynie opracowany projekt umowy dotyczącej wspólnego użytkowania kościoła i zarządzania nim z zastrzeżeniem pierwszeństwa oo. karmelitów w przejęciu zarządu kościoła, w przypadku rezygnacji duszpasterstwa wojskowego. Faktycznie nie istniała konieczność użytkowania kościoła Opieki św. Józefa przez wojsko, gdyż kościół Świętej Elżbiety w zupełności na potrzeby wojska wystarczył. Również dom parafialny próbowano kilka razy odebrać. W 1949 roku jedno piętro miały zająć rodziny wojskowych, w 1950 wojewoda przydzielił budynek 11 Pułkowi Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, w 1955 z kolei dwa piętra zostały przeznaczone przez władze na internat szkoły muzycznej.

Dzięki św. Józefowi, którego opiece nieustannie ojcowie się polecali, a i zapewne dzięki interwencjom w kurii, Urzędzie Wojewódzkimi w Warszawie, pozostali jedynymi gospodarzami obiektu. Wśród trudności ograniczających działalność, należy wspomnieć też o różnego rodzaju zakazach. W pierwszych latach procesje Bożego Ciała odbywały się ulicami, niestety, od roku 1950 do 1956 nie otrzymywano zgody na przejście, procesja odbywała się więc wokół samego budynku kościelnego. Dopiero od 1957 roku ponownie mogła przejść ulicami. W roku 1951, po remoncie kopuły kościoła umieszczono na jej szczycie duży świetlny krzyż. Niestety, zakazano oświetlania krzyża ze względu, jak podano, na oszczędność prądu. Oświetlenie można było włączyć tylko na Boże Narodzenie. Trudności były również w związku z katechizacją, nauka religii mogła odbywać się jedynie w kościele, wiele zabiegów kosztowały starania o umożliwienie katechizacji w salce. Referat ds. Wyznań wzywał, nakazywał, zabraniał, ingerował nawet w takie sprawy jak długość rekolekcji. Ślad tych działań znajduje się w korespondencji Urzędu do Spraw Wyznań. W piśmie z 19 II 1955, w wykazie miejsc nielegalnego nauczania znajduje się Kościół Opieki św. Józefa i wymieniony jest o. karmelita Franciszek Kozłowski (o. Augustyn).

Pomimo trudności ojcowie karmelici z poświęceniem prowadzili duszpa-

sterstwo, organizowali, nauczali starając się o nieustanny wzrost powierzonych im pieczy dusz. Cała posługa duszpasterska związana była z charyzmatem zakonu. Kolejni przełożeni, a po 1966 roku proboszczowie parafii, zmieniali się często, zgodnie z regułą zakonu co 3 lata. Ich działania wyznaczały dwa elementy: szczególne powołanie zakonników i aktualne potrzeby czasu. Charyzmat pozostawał niezmienny, potrzeby ulegały zmianom w różnych okresach, w pierwszych latach była to konieczność remontu świątyni i starania o utrzymanie stanu posiadania w trudnych czasach ograniczeń wprowadzanych przez władze. Od początku pojawiła się konieczność nietatwej pracy w środowisku, gdzie obowiązywały zrelatywizowane w okresie wojny i powojennego chaosu normy moralne, konieczność integrowania społeczności przybyłej z wielu miejsc. W latach późniejszych była to budowa życia parafialnego, zapoczątkowana już w okresie poprzedzającym erygowanie parafii.

Szczególne powołanie zakonników wyrażające się w maryjności i rozwijaniu ducha modlitwy, nadawało ich pracy specjalne rysy. Podjęcie pracy parafialnej wpłynęło na szersze udostępnienie duchowości karmelitańskiej wierzącym. Zarówno nabożeństwa, jak i posługa sakramentalna ojców karmelitów, miały ściśle związek z ich duchowością. Wyrazem duchowości maryjnej Karmelu były liczne uroczystości Matki Bożej, związane z nimi obchody i działalność bractw religijnych, a szczególnie Matki Bożej z Góry Karmel - Szkaplerznej i Bractwa Szkaplerznego oraz Matki Bożej Ostrobramskiej. Karmelitańskie powołanie prowadzenia dusz do szczególnej przyjaźni z Bogiem znajdowało swoją realizację w posłudze sakramentalnej, zwłaszcza w spowiedzi św. i naukach z dziedziny duchowości przy spotkaniach i rekolekcjach dla III zakonu, karmelitańskiej szkoły modlitwy, Instytutu Duchowości. Zmiana kapłanów nie powodowała nigdy wielkich przemian, o podejmowanych inicjatywach decydowała przynależność do zakonu. To co wpisane w charyzmat, zawsze pozostawało, choć zmieniały się osoby.

We Wrocławiu powstała w 1946 roku rezydencja oo. karmelitów, w 1947 roku podniesiona do rangi wikariatu, w 1966 otrzymała godność przeoratu.

EWA SUDLITZ

Wszyscy normalni ludzie w Polsce są wstrząśnięci tym, co zdarzyło się w gdańskim gimnazjum. Szok wywołany zachowaniem młodocianych psychopatów pogłębiła dodatkowo reakcja niektórych mediów, w tym m.in. „Gazety Wyborczej”. W numerze z 30 października br. obok rzetelnego reportażu Bożeny Aksamit i Piotra Głuchowskiego pt. „Odpowiedziała: Dam sobie radę, mamo” znalazł się także zaskakujący artykuł Dariusza Chętkowskiego „Nauczyciel – Największy Problem Szkoły”.

Autorom pierwszego tekstu należy się uznanie za przedstawienie tragedii w gdańskiej szkole z wrażliwością i otwartością na prawdę – nazwanie zła po imieniu, bez eufemizmów. Natomiast artykuł pana Chętkowskiego oburza potężnie, a przede wszystkim wydaje się wewnętrznie sprzeczny. W pierwszej części autor umieścił bardzo prawdziwy obraz szkolnej rzeczywistości, doprawiony drastycznym fragmentem ze sztuki „Belfer” Jeana Pierre’a Dopagne, opisującym gwałt zbiorowy dokonany przez uczniów na nauczycielce. Autor przytoczył również reakcje rodziców na wieść o zachowaniu ich dzieci, w tym zrozumiałą prośbę pewnej matki o większą surowość i zastosowanie kar cielesnych wobec jej syna. Zaskakujące było dla mnie to, co nastąpiło potem – nauczyciele zostali podzieleni na tych „be”, którzy domagają się zaostrzenia dyscypliny, i tych „cacy”, którzy poszukują skutecznych metod wychowawczych. Autor, rzecz jasna, zalicza się do tych ostatnich i w drugiej części artykułu daje upust swojemu rozgoryczeniu z powodu niskiej frekwencji pedagogów, zajętych „awansem zawodowym”, na prowadzonych przez niego warsztatach. Już sam tytuł artykułu – jakże nieadekwatny wobec tego, co się zdarzyło – jest wyrazem frustracji piszącego.

Czy opisaną w sztuce Dopagne’a nauczycielkę uchroniłby przed gwałtem? Czy to ona była „największym problemem szkoły” tak zgodnie „rozwiązany” przez uczniów? Nikt przy zdrowych zmysłach nie odpowiedziałby twierdząco na to pytanie. Dokopywanie nauczycielom ilekroć w szkole dzieje się coś niedobrego jest taktyką łatwą i przyjemną, ale niestety, nie roz-

Wokół tragedii w gdańskim gimnazjum

Kwestia odpowiedzialności

ALDONA SZARYPO

wiązującą niczego, a przy tym odwracającą uwagę od o wiele głębszego problemu społecznego.

W reportażu Bożeny Aksamit i Piotra Głuchowskiego czytamy, że dwaj z prześladowców Ani po skończeniu podstawówki pod wpływem alkoholu skopało samochody swoich nauczycieli. Mimo że wszyscy we wsi wiedzieli, kto to zrobił, kary dla młodocianych przestępców nie było. Ojciec jednego z nich powiedział poszkodowanej nauczycielce, żeby porozmawiała raczej z jej adwokatem niż z dzieckiem. Inny (a może ten sam) nazwał znęcanie się nad Anią i doprowadzenie nieszczęsnej dziewczynki poza granice psychicznej wytrzymałości *podszczyptywaniem normalnym wśród dzieciaków*. Trudno nie osłupieć, słysząc taką wypowiedź dorosłego człowieka. Wyjaśnienie, że jest takim samym psychopatą jak jego syn, jakkolwiek kuszące, nie oddaje istoty rzeczy. Jego postawa bowiem jest nieco przejawskrawioną wersją bardzo rozpowszechnionej wśród rodziców tendencji „wychowawczej” polegającej na zaniechaniu wszelkiego wychowania, rezygnacji ze stawiania wymagań i wytyczania jasnych granic tego, co dopuszczalne. Zamiast tych, jakże restrykcyjnych i zafanych metod stosuje się afirmację dokładnie wszystkich zachowań potomka. W niektórych przypadkach jest to pewnie skutek braku zainteresowania i niechęci do wysiłku, w innych świadomy zabieg zmierzający do wyprodukowania „klasy panów”, nieskrępowanych zbytecznymi skrupułami czy względem na innych ludzi. W jeszcze innych, wynika z naiwnej wiary w z gruntu dobrą i niewymagającą żadnej obróbki ani prowadzenia naturę człowieka. Na zawsze pozostanie tajemnicą, jak takie irracjonalne przekonanie mogło rozpowszechnić się w najmłodszym w historii ludzkości dwudziestym wieku, czasie zbrodni popełnianych na niespotykaną dotąd skalę.

Jakakolwiek jest motywacja rodziców rezygnujących z wychowywania swoich dzieci, skutkiem jest taka właśnie szkoła, o jakiej można było przeczytać w reportażu w „Gazecie”. Nauczyciele pozbawieni wszelkiej władzy są całkowicie bezradni wobec psychopatycznych produktów „beztresowe-

go wychowania”, zaniedbania i środowisk kryminogennych. Środki wychowawcze, jakimi dysponują tzn. obniżenie oceny z zachowania, wezwanie rodziców, nagana czy zawieszenie w pracach ucznia są po prostu śmieszne wobec skali deprawacji części młodego pokolenia.

Warto sobie uświadomić, że gdyby odwołana przez dyrektorkę polonistka wróciła na swoją lekcję wcześniej i zo-

złowrogo w sytuacji bezrobocia) lub zachętę do posłużenia się „sposobem”. Wielu nauczycieli tak właśnie funkcjonuje – „dogadują się” z klasą, aby mieć możliwość prowadzenia lekcji. Mam jednak wrażenie, że tym samym wchodzi w rolę tresera dzikich zwierząt, który wie, jak je podejść, aby SOBIE zapewnić bezpieczeństwo. Z pewnością wielu dorosłych inteligentnych ludzi jest w stanie wymyślić taki „sposób” na młodych



baczyła, co się dzieje, miałyby prawo jedynie wezwać dręczycieli Ani do zaprzestania pastwienia się nad nią, a jeśli by nie posłuchali, mogłyby tylko zadzwonić po policję i czekać aż ktoś uprawniony odciągnie oprawców od ich ofiary. Reakcję adekwatną do sytuacji musiałaby zastąpić apelowaniem do wyższych uczuć małych zwyrodnialców lub wpisaniem uwagi do dziennika. Mając do dyspozycji tak „skuteczne” środki oddziaływania, nauczyciele zmuszeni są do podtrzymywania fikcji, że panują nad sytuacją, podczas gdy w rzeczywistości sposób nie panują. Gdyby zgłosili problem dyrekcji, która jest równie bezsilna, usłyszeli by zarzut, że sobie w tej pracy nie radzą (co brzmi dość

oprychów, ale czterastoletnia, delikatna, wrażliwa dziewczynka niekoniecznie.

Wychowanie ma ukształtować takiego człowieka, przy którym WSZYSCY, a przede wszystkim słabsi, mogą czuć się bezpiecznie. Zapewnienie jednostkom wypaczonym lub moralnie niedorozwiniętym całkowitej bezkarności z pewnością temu nie służy. Jeśli prawo traktuje ucznia pod względem nietykalskości tak samo jak człowieka dorosłego, to logiczne wydaje się, żeby wymagać od niego tyle samo pod względem odpowiedzialności. Prześladowcy Ani powinni nie tylko odpowiadać za publiczne znęcanie się nad nią, które stało się bezpośrednią przyczyną jej samobój-

☞ Dokończenie na str. 20

Jesteśmy inni...

KS. RAFAŁ KOWALSKI

...notatki na marginesie książki „Ten inny” – Ryszarda Kapuścińskiego

**Przyzwyczałem się, że książki Ryszarda Kapuścińskiego szybko zostają okrzyknięte bestsellera-
mi, i muszę dodać, że nie bez
powodu. Nie można się zatem
dziwić, że z wielkim zapętem
sięgnąłem po najnowszą pozycję
tego autora pod tytułem *Ten
inny*. Po lekturze odniosłem
wrażenie, że książka wspaniale
wpisuje się w dwa „procesy”,
których w ostatnim czasie
jesteśmy świadkami. Pozornie
nie mają one ze sobą wiele
wspólnego. Łączy je jednak
wspomniana w tytule „inność”.**

Pierwszy proces wiąże się bezpośrednio z głośnymi protestami wyznawców Mahometa po papieskim wykładzie na Uniwersytecie w Regensburgu, które ponownie stawiają pytanie o nasz (nazwijmy to: Europejczyków) stosunek do (kogoś) „Innego”. Drugi to wielka emigracja Polaków w poszukiwaniu pracy i lepszych warunków życia. Ona bowiem sprawia, że to my (tym razem Polacy) jesteśmy „Innymi”, którzy rozbili swoje namioty w jakby nie było odmiennej kulturze... Pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego, a jednak...

Trudno nie zgodzić się z autorem, który stwierdza, że przez wiele wieków nasz kontynent pozostawał zamknięty i zastygły w swoim eurocentryzmie. Następstwem tego jest fakt, że zdajemy się nie dostrzegać, albo – wolimy nie dostrzegać, iż na planecie zwanej Ziemią nabierają wagi, dynamizmu i życia różne cywilizacje pozaeuropejskie, które coraz dobitniej i coraz bardziej stanowczo domagają się miejsca dla siebie przy stole świata. Myślę, że żaden uważny obserwator tego, co rozgrywa się na arenie świata, nie będzie protestował gdy stwierdzę, że Europa musi znaleźć sobie nowe miejsce przy tym stole i nigdy już nie będzie zasiadać przy nim na zasadzie wyłączności – niezagrożona i jednowładcza, jak kiedyś...

Mam wrażenie, że proces „przesiadania” się i poszukiwania nowego miejsca ruszył już za naszą zachodnią granicą. Przez kilka dni media niemieckie

informowały społeczeństwo o historycznym spotkaniu rządu i 15 przedstawicieli organizacji islamskich, działających na terenie Niemiec. Gdy czyta się wypowiedzi o początkach rozwoju europejskiej odmiany islamu, który wyraźnie różni się od myślenia w arabskich środowiskach; gdy politycy niemieccy z dumą stwierdzają, że konstytucja i zawarte w niej prawa nie podlegają pertraktacji i muszą być przez wszystkich zaakceptowane; a kilka akapitów później poznajemy wynik wyliczeń jednego z przedstawicieli organizacji islamskich, który donosi, że w roku 2100 terytorium Niemiec będzie zamieszkiwać 35 milionów Turków przy około 20 milionach Niemców, co więcej – ów pan (Vural Öger) dodaje: *to co Kanuni Sultán Süleyman rozpoczął w 1529 roku przez oblężenie Wiednia, będziemy urzeczywistniać przez naszych silnych mężczyzn i zdrowe kobiety, trudno nie zgodzić się z autorką książek Necklę Kelek, krytykującą naiwną tolerancję Niemców (Freiheit oder Islamismus – „Fokus” nr 40 z 2.10.2006)*. Nie ulega wątpliwości, że rozpoczęła się proces zmiany miejsc przy stole świata...

Jak przy każdym „okrągłym stole” niezbędny jest dialog. Wspaniale perspektywę dialogu ukazuje Kapuściński, zauważając, że każdy człowiek składa się jakby z dwóch istot, które trudno rozdzielić. *Jedna z tych istot to człowiek jak każdy z nas; ma swoje radości i smutki, swoje dobre i złe dni, cieszy się z sukcesów, nie lubi być głodny, nie lubi kiedy jest mu zimno, odczuwa ból jako cierpienie i niechęć, odczuwa pomyślność jako satysfakcję i spełnienie. Druga istota, nakładająca się i spleciona z pierwszą to człowiek jako nosiciel cech rasowych, nosiciel kultury, wierzeń i przekonań. Żadna z tych istot nie występuje w stanie czystym i wyizolowanym, obie współzyskują ze sobą wzajemnie na siebie oddziałując. Nie przekreśla to jednak możliwości owocnego dialogu, (jak rozumiem) zwłaszcza pomiędzy naszymi „pierwszymi istotami”.*

Ten dialog, jednak musi być odpowiednio przygotowany, by nie był zwykłym spotkaniem, które trudno będzie odróżnić od zwykłego minięcia się na ulicy. Mam wrażenie, że – zdaniem Kapuścińskiego – pierwszym punktem przygotowań jest ugruntowana tożsamość. Autor stwierdza, iż fakt uznania wielokulturowości świata jest naturalnie swoistego rodzaju postępem, jednak istnienie w świecie wielokulturowym wymaga silnego i dojrzałego poczucia tożsamości. Do tego problemu jeszcze wrócimy. Zatrzymajmy się przez chwilę nad drugim procesem...

Ów drugi proces rozgrywa się na naszych oczach z chwilą przyjęcie naszego kraju do Unii Europejskiej i otwarcia rynków pracy dla naszych obywateli. Jako Polacy „rozbijamy swoje namioty w innych krajach” i chociaż owi „Inni” zdecydowanie różnią się od „Innych” spotykanych przez Kapuścińskiego, to jednak zasada, którą przedstawił w swo-



jej nowej książce ma tutaj zastosowanie, a mianowicie: „za wyrwanie ze swojej kultury płaci się wysoką cenę. Dlatego tak ważne jest posiadanie własnej, wyraźnej tożsamości, poczucie jej siły, wartości i dojrzałości. Tylko wówczas człowiek może się śmiało konfrontować z inną kulturą”.

Rozmawiam z kapłanem posługującym wśród Polonii w jednej z miejscowości pod Londynem, gdzie za chwilę mam sprawować Eucharystię, i słyszę, że spośród 30 tysięcy Polaków, którzy zamieszkali w okolicy, regularnie na niedzielnej Eucharystii jest 200 osób. Za wyrwanie ze swojej kultury płaci się wysoką cenę. Gdzie jest ich tożsamość? Na czym ją budują?

Nietrudno się zorientować, że wspólnym mianownikiem dla obu procesów jest tożsamość. W książce możemy wyczytać, iż w Europie określamy ją poprzez symbole, przez identyfikowanie się z nimi, jak na przykład z flagą lub hymnem. I tu koniec... Jakże brakuje wspomnienia o tożsamości chrześcijańskiej. Udawanie że taka nie istnieje, niezauważenie jej bądź lekceważenie z punktu widzenia historycznego wydaje się śmieszne, co więcej – zdecydowanie przyczynia się do tworzenia „hybrydycznego” typu tożsamości. Każdy bowiem – bez względu na światopogląd – musi się zgodzić, że tożsamość Europejczyka kształtowała się przez wieki na podstawie wartości chrześcijańskich. Niektórzy twierdzą, że te korzenie są wymarłe, ale w ten sposób przyczyniają się do tworzenia nowego typu tożsamości, którą Kapuściński określa jako „tożsamość hybrydyczną”. Odczuwam w pewnym sensie niedosyt, że pisząc o potrzebie silnej tożsamości ani słowem nie wspomniał autor o chrześcijańskich korzeniach tożsamości Europy. Ta wzmianka nie tylko nie przeczyłaby ale wręcz przeciwnie – potwierdzałyby dalsze rozważania autora, zakończone wezwaniem by poczuć się odpowiedzialnym za „Innych” i uznać że ta odpowiedzialność jest dla nas nakazem etycznym, by budować na fundamencie szacunku, dostrzegania i poważania drugiego.

Nie ulega wątpliwości, że nasza planeta zawsze była wielokulturowa, że żyjemy w świecie wymieszanych języków. Właśnie ten a nie inny świat jest światem wielkiej szansy. Potencjalnie daje wiele i wiele wymaga. Silne poczucie tożsamości jest niejako warunkiem przetrwania... Nie bójmy się powiedzieć – tożsamości chrześcijańskiej...

Odszedł nasz „Kruszyna”

IZABELLA ZAMOJSKA

„Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...” – te słowa ks. Twardowskiego tak często sprawdzają się w życiu. Tak jak teraz, kiedy odszedł nasz ks. Prałat Stefan Witczak „Kruszyna” (10 IX 1948 – 8 X 2006), bo tak trudno w to uwierzyć i tak ciężko pogodzić się z myślą że nasz wspólny czas już się skończył. Przez te 25 lat kapłaństwa w Dolinie Białki, Kruszyna zaskarbił sobie wśród wiernych tyle życzliwości i sympatii, zyskał tak wielkie grono przyjaciół z bliska i z daleka że Jego fenomenowi chyba nie sposób będzie kiedykolwiek powtórzyć, bo stał się legendą. I takiego zawsze będziemy go wspominać: wesołego i otwartego.

To on swym humorem i pogodą ducha, ożywiał świat wokół siebie. To on pocieszał, wyciągał zawsze swą szczerą, pomocną dłoń. To on przez całe lata podnosił z gruzów wszystkie okoliczne zabytki sakralne, przywracał do życia leśne świątynie, przydrożne kapliczki, wybudował wielką plebanię nazwaną Przyjaznym Domem. Utworzył dużą wypożyczalnię sprzętu rehabilitacyjnego. Jednoczył miejscową społeczność, pragnął dawać ludziom radość, uczył współczucia. Budował pomosty przyjaźni mieszkańców przygranicza i z narodem niemieckim.

Troszczył się o najmłodszych, pochylał się nad chorymi i starszymi, potrzebującymi, a szczególnie na sercu leżał mu los niepełnosprawnych (m.in. założył klub sportowy, ośrodek pomocy dla niepełnosprawnych, teatr wiejski, bibliotekę obwoźną, organizował wycieczki).

Trudno byłoby wymienić wszystkie Jego większe i mniejsze przedsięwzięcia. Ale najważniejsze są tu codzienne uśmiechy, które rozdawał pozdrawiając wszystkich okrzykiem, machnięciem ręki i sygnałem z swego busa Pomocy Maltańskiej.

Miał szczególny dar organizacyjny, żył z pasją. Być przyjacielem Kruszyny znaczyło wspierać go w Jego działalności na różne sposoby, każdy mu życzli-

wy nigdy się nie nudził. Lubił opowiadać o tym, co akurat robi, co go cieszy, co martwi, czasami bywał też strapiony. Lubił też słuchać o tym, co dzieje

się w każdym domu i w każdym człowieku, czym

żyją. Zawsze miał mnóstwo planów, a ży-

wioł, który w nim

drzemał nie po-

zwalał mu od-

począć, mimo

że stan Jego

zdrowia po-

mału się po-

garszał, ni-

gdy nie

przygasł,

nawet kiedy

cierpiał.

Wydawało

się że jest

wszystdzie, za-

wsze gdzieś je-

chał, działał,

wstępował to tu,

to tam. Ale nie

brakowało mu

czasu, aby zatrzymać

się nad potrzebującym

i szukać dla niego rady, od-

wiedzić znajomych, porozmawiać

tak ciepło, szczerze. Wielu traktowało go

jak członka rodziny.

Jego liczne kapelaństwa, a miał ich około 10 (np: był kapelanem strażaków), leśników, myśliwych, Solidarności polsko-czesko-słowackiej, żołnierzy AK) były dla niego chlubą, tak samo jak różne mundury, które lubił nosić.

Swoją serdecznością, prostotą i poczuciem humoru gromadził tłumy na organizowanych przez siebie imprezach, zbliżając ludzi do siebie i do Boga. Bardzo chętnie i szybko nawiązywał



Odszedł nasz „Kruszyna”

 Dokończenie ze str. 13

nowe znajomości, często z letnikami i turystami. Grono sympatyków Kruszyny rosło latami, teraz wszyscy mniej lub więcej go znali w promieniu wielu kilometrów, miał już sporo znajomych za granicami kraju.

Jego wielkim atutem był też głos, potężny, ale używany ze smakiem i wirtuozerią, nigdy go nie oszczędzał, popisując się nim nie tylko w kościele,

ale także w chórze ludowym i wyśpiewując uroczyste wiązanki „sto lat” w domach solenizantów. Ks. Stefan w latach 80. był oddanym działaczem demokratycznej opozycji solidarnościowej.

Czerwcowy jubileusz 30-lecia kapłaństwa i oficjalne przyjęcie szat prałata, było bardzo wzruszającym wydarzeniem, świętem podsumowują-

cym Jego zasługi i ogólne poważanie. Ostatnie pożegnanie naszego ukochanego pasterza było prawdziwą manifestacją miłości, jaką go darzyliśmy, Mszę św. celebrowało trzech biskupów z udziałem ponad 120 księży, przybyło 30 pocztów sztandarowych, niezliczone tłumy ok. 2,5-3 tys. osób. Ceremonia odbyła się tak, jak lubił Kruszyna, z orkiestrą, chórem i wspólną biesiadą w Nowym Gierałtowie.

Teraz pozostało nam już tylko dziękować Bogu za to, że mogliśmy mieć tak wyjątkowego kapłana i przyjaciela, który dał nam przykład na dalszą drogę.

JADWIGA ZAMOJSKA

Brama Zmartwychwstania

JOANNA PIETRASIEWICZ

Małeńkie dziecko kwili, ponieważ nie może wyartykułować swoich myśli i jedynie w ten sposób może wyrazić siebie.

Przychodzi taki czas, że ludzie dorosli także kwilą... kwilą, gdyż tylko to im pozostaje, gdy ciało martwieje rozdzielane tęsknotą, a duch związany ciemnością lęku na przemian modli się to znów urąga losowi. Umysł wyjąłowny przez wątpliwości miota się między rozsądkiem uparcie szukającym nadziei a sercem, z którego pozostał już tylko głuchy strzęp. Z zaciśniętego łzami gardła bezwiednie wydobywa się rozdzielający jęk, jęk z samego dna rozpaczy... jedyny znak tlącego się jeszcze życia... Cała istota ludzka staje się jękiem... przynicienia cierpieniem ponad swoje siły, onemiała z bólu, już tylko kwili przed Bogiem... Jak długo można tak żyć? Czy w ogóle można żyć w takim stanie?

Już 2000 dni tak żyje Janusz Dariusz Telejko. Dla niego każdy promień wschodzącego słońca, oznacza ciemność kolejnego dnia bez umiłowanej istoty. Wraz jego ukochaną córką, 28 marca 2001 roku, umarło jego Serce. Trzy dni wcześniej Natalia Telejko została potrącona na przejściu dla pieszych przez jadącego z nadmierną prędkością syna wrocławskiej radnej SLD. Za to trzydniowe konanie Córki, Janusz Telejko na próżno domagał się ludzkiej sprawiedliwości. Sprawiedliwość Bożą pozostawił Bożemu Miłosierdziu.

Natalia Telejko w chwili śmierci miała 18 lat. Była młoda, wybitnie utalentowana, miała cały świat u stóp i wielkie

plany na życie. I tylko te wielkie plany, które głuchym echem odbijają się w pustych bez niej ścianach rodzinnego domu, pozostały jej ojcu, matce, siostrze.

Ani ci, którzy znali Natalię, ani też ci, którzy poznali ją poprzez jej twórczość – nikt, nie potrafi pogodzić się z jej śmiercią. Bo kiedy spoglądamy na otaczający nas świat, na cywilizację, która chyli się ku upadkowi, wciąż powraca pytanie dlaczego odeszła osoba, która była wielką szansą dla tego świata? Przecież Natalia Telejko wyrosłaby na jasną, wyrazistą, dobrze ukształtowaną duchowo i intelektualnie postać. Może byłaby profesorem etyki, psychologii, socjologii, może filozofem, a może pisarką. W tę stronę ciągnęły ją emocje, myśli, wybory, umysł, temperament i wrażliwość. Może pisałaby wspaniałe dzieła literackie albo odkrywała nowe prawdy naukowe? Z pewnością byłaby kimś wyjątkowym, ważnym i pięknym duchowo – jak stwierdził Stanisław Srokowski poeta, prozaik, krytyk literacki. Profesor Mirosław Zabierowski, Kierownik Pracowni Psychologii Humanistycznej, Kierownik Zakładu Metodologii Nauk Politechniki Wrocławskiej podkreśla wybitny talent i osobowość Natalii Telejko – *W wypowiedzi Natalii niewątpliwie zjawia się osoba niezwykle zdolna (...). Uczennica liceum opisuje nam plastycznie swoje wzrastanie, swój rozwój. W przeciwieństwie do koncepcji psychologicznych, upatruje w więzach społecznych ważny czynnik roz-*

woju (...) nie wie jeszcze o tym, że bezwiednie przedstawia nam ten poziom umysłu, przy którym zalecane psychologiczne podreczniki akademickie z zakresu komunikacji społecznej i negocjacji są popisem tzw. ciemnogrodzstwa – ksenofobii, nietolerancji, osmyczenia, zamknięcia się i lęków przed kontaktem z drugim człowiekiem.

Po Natalii Telejko pozostał grobowiec na cmentarzu i nieukoiony ból i żal Najbliższych. Świat stara się o Niej zapomnieć, jakby chciał ukryć przed samym sobą osobę będącą dla niego wyrzutem sumienia... bo Natalia Telejko była światłem i solą dla tego świata. Nam jednak pozostaje ufność, że przyjdzie czas, kiedy Natalia Telejko zatriumfuje, a jej dobroć i mądrość nadadzą nowy bieg historii.

Wierzy w to Ojciec Natalii Telejko. Pokorny wobec bólu i tęsknoty, wytrwały w swoim męczeństwie, wraz z modlitwą zamyka przygniatające go cierpienie w swojej twórczości. Jako poeta, pisarz, reżyser, dziennikarz – wszystko, co robi poświęca Córce i każdą strofą swojej poezji i nutą ze swoich koncertów błaga innych o modlitwę w jej Intencji... Bo nic już nie jest w stanie złagodzić Jego bólu. Nikt – ani lekarze, ani naukowcy, ani teologowie – nikt nie może tu pomóc...

Bo także i Bóg boryka się z bólem... bólem, który rozdiera wnętrze ojcowskiego jestestwa – Bólem Golgoty. I to właśnie tylko Bóg schodzi w najgłębszą ciemność ludzkiej rozpaczy i na Golgocie pozwala rozdrzeć swoje Serce śmiercią Syna. Syna, który skatowany zawiśł na Krzyżu obciążony brzemieniem naszych grzechów, naszych cierpień i naszych chorób. Syna, który umierając zamiast nas i przebacząc nam, także prosi o przebaczenie... prosi abyśmy przebaczyli, że to właśnie cierpienie stało się bramą Zmartwychwstania.

I pozostaje już tylko Nadzieja, jak w wierszu J.D. Telejki pt. „Ziemia Święta”: (...) *daj mi nadzieję wieczystą że kiedyś ją znów zobaczę i w miłosiernym Twym Sercu Radością Wieczną zapłacę.*

Jeszcze o karze śmierci

Przeczytałem artykuł pt. „Jan Paweł II o karze śmierci” w nr. 10 „Nowego Życia” autorstwa ks. Piotra Niteckiego i chciałbym odnieść się do kilku kwestii.

Otóż uważam, że kara śmierci nie jest zemstą. Jest zapisaną w prawie groźbą, że ten, kto dokona określonego czynu może być na nią skazany. A więc kara śmierci nie jest odwetem. Jest to sytuacja analogiczna do groźby w czasie obrony koniecznej. Jako człowiek napadnięty, mam prawo krzyczeć do agresora, że użyję wszelkich dostępnych mi metod, aby zapobiec jego agresji. Jeśli nie usłucha i nie odstąpi od swego zamiaru, mam prawo oczekiwać, że liczy się z konsekwencjami swego wyboru. Jeśli w czasie napaści agresor zginie, to ponosi za swój czyn „karę” śmierci natychmiast. Jeśli jednak w czasie napaści uda mu się swoją ofiarę zabić, to dlaczego owa groźba ma nie być wykonana po śmierci ofiary? Agresor uzna ją wówczas za pustosłowie i nie zniechęci go to do podobnych wyczynów w przyszłości.

Bóg traktuje nas jak osoby rozumne, wolne i obdarzone godnością stworzenia. Bóg traktuje nas poważnie, w przeciwieństwie np. do lewicowych polityków, którzy uważają, że człowiek sam świadomie nie może decydować o swoim losie i trzeba go do wielu rzeczy zmuszać (ubezpieczenia, zapinanie pasów w samochodzie itd.).

Bóg co więcej szanuje nasze wybory!!! Powiedzmy to sobie jasno – Bóg

jest miłośnikiem wolności (czy Bóg jest liberałem? sic!). To dlatego nie chce nikogo zmuszać do tego, by Go kochać. Dlaczego Bóg nie „zniesie” istnienia piekła? Bo żeby Życie Wieczne miało jakąś wartość, musi istnieć piekło – jako świadomy wybór człowieka, uszanowany przez Boga. Tak, uszanowany, choć pewnie z niewypowiedzianym bólem (jeśli jednak Bóg jest absolutem, to czy mój czyn może Go zabołec??? Tu wkraczamy w teologiczny problem cierpienia Boga, który jest bardzo skomplikowany i chyba nieco nie na temat...). Czy jakikolwiek teolog byłby jednak skłonny uznać, że Bóg jest winien tego wyboru człowieka, który nie jest po Jego myśli? Czy jeśli człowiek wybiera zło, to winny tego jest Bóg czy człowiek? Czy jeśli człowiek wybiera piekło, to czy Bóg jest temu winny? Czy jest winny, że nie dość się postarał by go z tej drogi zawrócić? Absurd?

Czy sędzia, który wydaje wyrok z mocy prawa, jest winien tego wyroku? Czy jeśli wydaje wyrok 25 lat ciężkiego więzienia, jest obarczany winą za ten wyrok? A czy gdyby wydał wyrok śmierci, zgodnie z prawem, to czy byłby winien śmierci skazanego? Czy to raczej skazany byłby odpowiedzialny za swoją śmierć?

Zniesienie kary śmierci powoduje, że wartość życia znacznie się obniża. Wprowadzając karę śmierci, chronimy życie. Dajemy jasny sygnał bandycie – będziemy się bronić przed twoimi zbrodnictwami zamiarami. To odstrasza – czyli chroni życie! A jeśli nie odstrasza jednego bandyty, to wykonanie na nim wyroku

odstraszy pięciu innych - czyli znowu chroni życie! Jeszcze raz podkreślam - kara śmierci jest przedłużeniem obrony koniecznej. Świetnie to rozumiał największy filozof chrześcijaństwa – św. Tomasz z Akwinu. Aby chronić życie – musi być kara śmierci (jako groźba, nie jako odwet). Samo istnienie kary śmierci nie oznacza przecież, że jest to wykonywana z premedytacją zbrodnia dokonywana przez państwo!!! Aby nie było potrzeby jej stosowania – wystarcza przecież nie popełniać czynów zagrożonych jej wykonaniem. Uważam, że nie istnieje sprzeczność między ochroną życia nienarodzonych i stosowaniem kary śmierci dla najokrutniejszych morderców. Jedno i drugie chroni bowiem niewinne życie!!! To sprzeciw wobec aborcji i sprzeciw wobec kary śmierci jest nielogiczny. Jedno domaga się ochrony życia niewinnego (nawet w przypadku gwałtu, chorób i zagrożenia życia matki) a drugie chroni życie winowajcy, który popełniając określony czyn zdawał sobie sprawę, co za to grozi. Sam więc świadomie wybrał swój los. Musi mu więc zostać oddana sprawiedliwość.

Uważam oczywiście, że kara śmierci jest karą okrutną. Ale kara powinna być odpowiednia do czynu. Prawo bowiem musi być sprawiedliwe – nie zaś miłosierne (sprawiedliwość nie przeczy przecież wybaczeniu – można mordercy wybaczyć, ale sprawiedliwości stać się musi zadość). Prawo ma chronić życie niewinne.

LESZEK WINCENIAK

Wiadomo, iż problem kary śmierci jest zagadnieniem trudnym i dyskusyjnym. Publikowany powyżej list jest również świadectwem myślenia o tej sprawie. Oczywiście, kara śmierci nie może być nigdy rozumiana jako zemsta czy odwet, choć w popularnym odbiorze tak właśnie jest traktowana. Trudno zgodzić się z tezą, że jej stosowanie odstrasza złoczyńców, bo poważne badania tego nie potwierdzają. Autor listu podkreśla, iż stosowanie kary śmierci chroni życie. Jeśli nawet tak, to tylko tych ludzi „porządných”, zagrożonych przez ludzi złych. Obrona konieczna jest oczywiście prawem każdego człowieka, ale są dziś inne, bardziej cywilizowane jej formy, co podkreślał papież Jan Paweł II, broniący każdego życia. Jego pogląd, wyrażony wyraźnie w encyklice „Evangelium vitae” winien być zatem chrześcijaninowi bliższy niż wszelkie dywagacje próbujące uzasadnić słuszność orzekania i wykonywania kary śmierci. Przypomnijmy zatem, iż Ojciec Święty występując w obronie życia ludzkiego uczył, że u podstaw tego przekonania znajduje się ewangeliczna proklamacja „niezwykłej więzi

Jezusa z k a ż d y m człowiekiem, która pozwala rozpoznać w k a ż d e j ludzkiej twarzy oblicze Chrystusa”. To zaś jest podstawą przestania o tym, że „całe społeczeństwo winno szanować, chronić i umacniać godność k a ż d e j osoby ludzkiej, w k a ż d e j chwili i stanie jej życia (EV p. 81, podkr. PN). Dlatego bronił życia nienarodzonych i był przeciwnikiem kary śmierci. Taka jest najgłębsza, teologiczna, a nie prawna czy polityczna, motywacja stanowiska Ojca Świętego. A wydarzenia ostatnich dni dopisały jeszcze jakby puentę dla tego sposobu myślenia wynikającego z prostoty chrześcijańskiej wiary, kiedy to kard. Renato Martino, przewodniczący Papieskiej Rady „Iustitia et Pax”, komentując krytycznie wydany wyrok śmierci na Saddama Husajna, niewątpliwego ludobójcy, przypomniał, że „życie jest darem, jaki uczynił nam Pan i musimy je bronić od poczęcia aż po naturalną śmierć”.

KS. PIOTR NITECKI

Kwestia odpowiedzialności

 Dokończenie ze str. 15

czej śmierci, ale także za obrzucanie jej ohydnyymi wyzwiskami oraz plucie i rzucanie w nią jedzeniem, co miało miejsce wcześniej. Wiele zarzutów wysuwa się przeciw karze więzienia, która zapewne spotkałaby dorosłych sprawców takich czynów. Najpoważniejszym jest pogłębienie demoralizacji młodocianych przestępców. Trudno się z nim nie zgodzić. Ile tragedii musi się jeszcze wydarzyć, aby uświadomić ludziom odpowiedzialnym za ustalanie przepisów regulujących życie szkoły, że dzieci nie są dorosłymi i szkodliwym absurdem jest traktowanie ich tak, jakby były.

Każdy początkujący pedagog ze zdziwieniem odkrywa, że jego podopieczni bez względu na wiek oczekują nie partnerskiego podejścia i sympatycznej osobowości, ale przede wszystkim jasnego wytyczenia granic i poskromienia uczniowskiego żywiołu. Nawet wiedza przedmiotowa jest drugorzędna wobec tego podstawowego wymagania. Młodzież potrzebuje granic, żeby móc się przeciw nim buntować i czuć się bezpiecznie. O ile nauczyciel ma do czynienia z normalnymi dziećmi i jest wspierany przez rozsądnych rodziców oraz dyrekcję, sprostanie temu oczekiwaniu nie przekracza jego możliwości. Natomiast do opanowania jednostek wykończonych potrzebny jest specjalny typ osobowości i profesjonalny trening, a także zupełnie inna proporcja opiekunów do podopiecznych. Żaden młody człowiek po studiach rozpoczynający pracę w szkole nie ma odpowiednich kwalifikacji do sprostania temu zadaniu, rzadko który nabywa ich w trakcie pracy. Nauczanie i resocjalizowanie jednostek wypaczonych to dwa osobne powołania i nie da się ich połączyć w ramach pracy szkoły, choćby ze względu na czas i liczbę uczniów.

Tu trzeba powrócić do zaproponowanego przez pana Chętkowskiego przeciwstawienia zwolenników zaostreżenia dyscypliny i poszukiwaczy skutecznych metod wychowawczych. Jest ono z gruntu błędne, gdyż **DYSCYPLINA JEST SKUTECZNĄ METODĄ WYCHOWAWCZĄ**, podobnie jak czytelne określenie miejsca ucznia i nauczyciela w szkole. Sama pracowałam zarówno w dużym państwowym zespole szkół średnich, jak i niewielkim



liceum prowadzonym przez zakonnice. W pierwszej placówce dyskutowaliśmy na radzie pedagogicznej nad przypadkiem ucznia – ściganego listem gończym szefa gangu złodziei samochodów. Zdecydowaliśmy w końcu udzielić mu zaoznicznie nagany, gdyż nie było sposobu, żeby usunąć go ze szkoły. W liceum katolickim natomiast, gdzie każdy znał swoje miejsce w szeregu, najpoważniejszym wykroczeniem było sporadyczne palenie papierosów w toalecie lub spóźnianie się na apel przed lekcjami. Problem dyscypliny na zajęciach w ogó-

le nie istniał. W ciągu sześciu lat pracy tylko raz jedna z uczennic odezwała się do mnie arogancko, parafrazując moje słowa. Wystarczyła krótka rozmowa po lekcji, aby rzecz się już nigdy nie powtórzyła. Na tak odmienny wynik pracy na bardzo podobnym „materiale ludzkim” złożyło się kilka czynników: sensowny statut, przewidujący usunięcie ze szkoły w uzasadnionych przypadkach, zgodna współpraca pedagogów i dyrekcji, jasno określona hierarchia oraz spójny system wartości promowany przez szkołę.

Wracając do gdańskiej tragedii, najbardziej przerażający wydaje się w niej bierny (a w niektórych przypadkach

czynny) współudział całej klasy. Czy te dzieci miały tak stępną albo niedorozwiniętą wrażliwość moralną, że nie były w stanie rozpoznać, co się rozgrywa przed ich oczami czy też tak bardzo obawiały się wyłamać z grupy? Można ich tłumaczyć niedojrzałością, trudnym etapem rozwoju, zastraszeniem itp. Ich postawa przypomina bardzo rozpowszechnioną w naszym społeczeństwie odmowę reagowania na zło. Dzieci uczą się od rodziców. Wszelka przestępczość może w takim klimacie rozkwiąć bez przeszkód. Widziałam dorosłych mężczyzn, którzy w imię tzw. świętego spokoju mizdrzą się do młodocianych zwyrodnialców, tym samym popierając ich przestępczą działalność, natomiast, kiedy wybucha skandal, taki jak w Gdańsku, nagle szukają kozła ofiarnego. Najczęściej okazuje się nim ofiara, bo „provokowała” urodą, zgrabną figurą, bezbronnością czy samym swoim istnieniem albo nauczyciel, bo został odwołany z lekcji przez dyrektora. Tymczasem nie reagując na zło, które mamy w zasięgu wzroku, wszyscy stajemy się współodpowiedzialni.

Intencje Apostolstwa Modlitwy na listopad 2006

Intencja ogólna:

Aby na całym świecie położono kres wszelkim formom terroryzmu.

Intencja misyjna:

Aby dzięki wysiłkowi wiernych z Afryki łamały się stare i nowe bariery, które hamują rozwój tego kontynentu

Okruszek

PISEMKO DLA DZIECI

Codziennie wybieraj Królestwo Jezusa

Nasz świat piękny, stworzony przez Boga
wiele śladów ma Jego działania.
Lecz tak samo, jak chwast rośnie w zbożu,
zło się przecież na świecie wytania.

Często trudno odróżnić od dobra
to, co piękne (z pozoru) się zdaje.
Kwiat zapachem i wdziękiem kuszący,
gdy go zerwiesz – on cierniem się staje.

Bywa – prawdę przemilczysz przed mamą.
Mówisz: Nie chcę, by przykro jej było.
Jednak bardziej zaboli, gdy inni
opowiedzą, co się wydarzyło.

Chcesz koniecznie mieć to, na co patrzysz!
(Wszak reklama zachęca do tego)
A więc „bierzesz”, choć to nie jest twoje.
Myślisz: Przecież to nie jest nic złego.

Tak powoli pogrążasz swą duszę
w mroki grzechu, w królestwo ciemności.
I, stopniowo, nawet nie wiesz kiedy
tracisz z oczu Królestwo Miłości.

W życiu jest tak, że musisz wybierać:
jak postąpić, którą drogą kroczyć...

Warto radzić się Mistrza – Jezusa,
by pułapki żadnej nie przeoczyć.

Boże Dziecko – każdy chrześcijanin –
aby wybrać, ma sposobów wiele:
na modlitwie pytać o owoce,
słuchać Słowa uważnie w kościele...

Bracie! Siostro! Nie daj się oszukać!
Bo, wybrawszy którąś z błędnych dróg,
bardzo trudno czasem jest powrócić
do Królestwa, gdzie panuje Bóg.

Maria Żyromska



26 listopada obchodzimy Uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata. Jego Królestwo jest Królestwem Prawdy, Dobra, Piękna, Pokoju i Sprawiedliwości, a przede wszystkim Królestwem Miłości. To jest to, do czego wszyscy tęsknimy. Tylko w takim królestwie można być naprawdę szczęśliwym. Pan Jezus wzywa Ciebie i mnie, żebyśmy pragnęli być w Jego Królestwie. On chce także, żebyśmy tu na ziemi budowali takie właśnie Królestwo: w naszych rodzinach, na podwórku, w sklepie, na klatce schodowej, w przedszkolu czy szkole, jednym słowem wszędzie tam, gdzie bywamy. Kiedy na końcu czasów przyjdzie w chwale, sądzić żywych i umarłych, wtedy zapyta właśnie o to: Czy budowałeś Jego Królestwo? Czy starałeś się kochać – każdego, bez wyjątku. Co Mu odpowiesz? Bądź więc czujny! Nieprzyjaciel chce Cię oszukać. On nie chce żebyś był szczęśliwy z Bogiem, chce abyś raczej wybierał ciemność. Ale musisz uważać, bo to, co ci podsuwa czasem wygląda bardzo niewinnie, a nawet ma pozory dobra i piękna. Dlatego codziennie pytaj Jezusa czy to, co wybierasz, należy do Jego Królestwa.

11 listopada - ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI



W mój czysty
Okruszku, w moim kraju
to Polska, z białym gniazdem
wysokimi topolami, pociągami nieśladymi
i wysokimi koscielnymi wieżami.
Gdziekolwiek spojrzeć, gdziekolwiek staniesz
to wszystkie przyciągają polskością tenże
tegi obrazu nigdy nie zapomnisz
powstanie w pamięci jak ryba, nie takhle.
Nie zapomnisz, nawet najgłębszą kotarę,
tej pięknej, czystej ziemi
ona będzie ci sprzątać tę pieśń starą
„Nie mówim ziemi”.

W mój kraj, tak jak siebie
oddawaj mi to, co masz najlepsze:
miłość, przywiązanie, porażenie
i kłaniaj się ziemi, aż do ziemi.

Wysłona Larubka
ze Świdnicy

Rozmowa z Małgosią

- Co to znaczy, Małgosiu, że Polska jest Twoim domem?
- To znaczy, że tutaj mieszkam z moją rodziną i tu czuje się dobrze. Jest to najlepsze miejsce na ziemi i nie chciałabym żyć w żadnym innym kraju.
- A dlaczego na Twoim rysunku Polska ma dwa kolory: biały i czerwony?
- To są nasze narodowe barwy. Flaga Polski jest biało-czerwona. Kiedy jest jakieś święto, ludzie wieszają ją w różnych miejscach, czasem nawet w oknach. Wszyscy Polacy powinni szanować naszą flagę.
- Co to znaczy być Polakiem, Małgosiu?
- Trzeba mieszkać w Polsce i mówić po polsku. I kochać nasz kraj, najpiękniejszy na świecie. Dobrze też wiedzieć dużo o dziejach naszej Ojczyzny, znać jej przeszłość. Trzeba również dobrze

MODLITWA

Mocny, dobry Boże,
bez woli którego
nic się stać nie może
złego i dobrego.

Spraw, aby nad Polską
od gór aż do morza
była Twa Opieka
i Twa Łaska Boża!

A mnie pozwól, Boże,
abym według sił
dla mojej Ojczyzny
pożyteczny był!

mówić o Polsce i tak żyć, żeby dobrze mówiono o naszym kraju i Polakach poza granicami, na całym świecie. To się chyba nazywa patriotyzm. Niektórzy wyjeżdżają z kraju, ale to od nich zależy, czy chcą dalej przyznawać się do swojej Ojczyzny i czynić dla Niej dobro.

– Może znasz takich ludzi, którzy rozstawili imię Polski w świecie?

– Na pewno papież – Jan Paweł II. I jeszcze Adam Małyśz i Lech Wałęsa, i poeta Adam Mickiewicz, i kompozytor Fryderyk Chopin. Także Mikołaj Kopernik i wielu innych.

– A jak myślisz – czy dzieci mogą być patriotami?

– Chyba tak, ale muszą się tego nauczyć od swoich rodziców i od innych dorosłych.

– Jeśli ty – Małgosiu – będziesz kiedyś mamą, jak nauczysz swoje dzieci kochać Polskę – naszą Ojczyznę?

– Na pewno będę im pokazywać piękne miejsca w naszym kraju. Powiem im, że wielu ludzi oddało życie żeby bronić Ojczyzny. Nauczę ich polskich piosenek i pokażę, że trzeba szanować polską flagę. Jak będą małe, to nauczę je tego wierszyka, którego nauczyła mnie babcia:

„Kto ty jesteś? Polak mały.

Jaki znak twój? Orzeł biały.

Gdzie ty mieszkasz? Między swymi.

W jakim kraju? W polskiej ziemi.

Czy ją kochasz? Kocham szczerze.

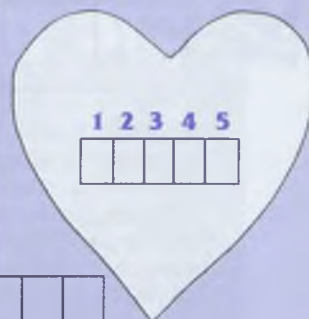
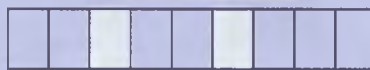
A w co wierzysz? W Boga wierzę”.

A przede wszystkim będziemy się razem modlić za Polskę – nasz dom!

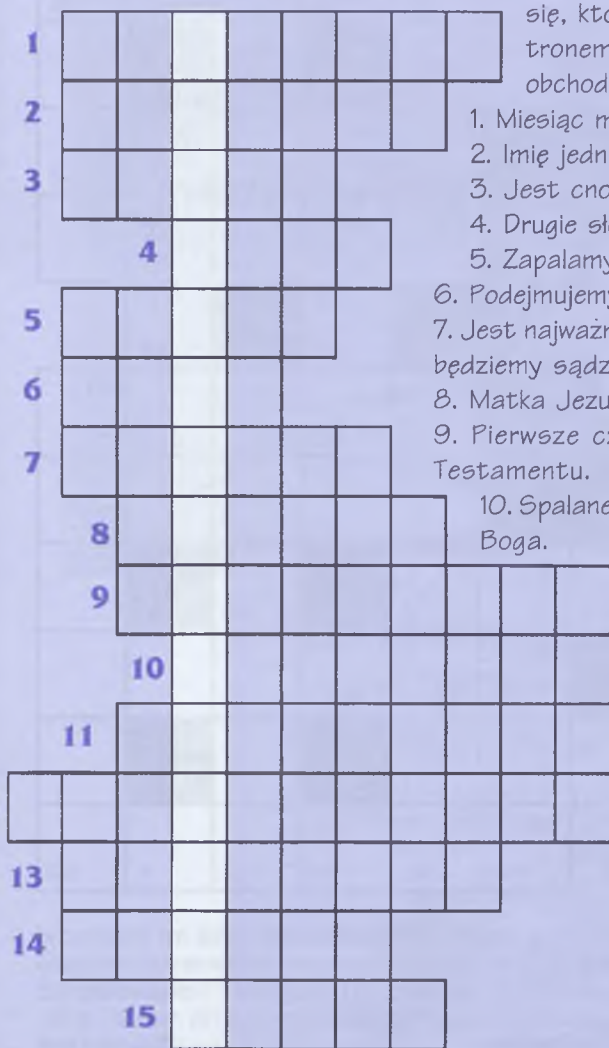


Portrety

Kto królował w sercach ludzi przedstawionych poniżej, że potrafili kochać innych? Dopasuj litery.



Krzyżówka



Rozwiązując krzyżówkę, dowiesz się, który polski święty jest patronem dzieci i młodzieży. Kiedy obchodzi on swoje święto?

1. Miesiąc modlitwy za zmarłych.
2. Imię jednego z ewangelistów.
3. Jest cnotą boską.
4. Drugie słowo Modlitwy Pańskiej.
5. Zapalamy go na grobie.
6. Podejmujemy go zwykle w piątek
7. Jest najważniejsza w życiu – z niej będziemy sądzeni.
8. Matka Jezusa.
9. Pierwsze cztery księgi Nowego Testamentu.
10. Spalane przy ołtarzu na cześć Pana Boga.
11. Możemy nią pomóc zmarłym.
12. Towarzysze Pana Jezusa.
13. Miasteczko narodzenia Zbawiciela.
14. Konieczna do odpuszczenia win.
15. Postanien Boży.

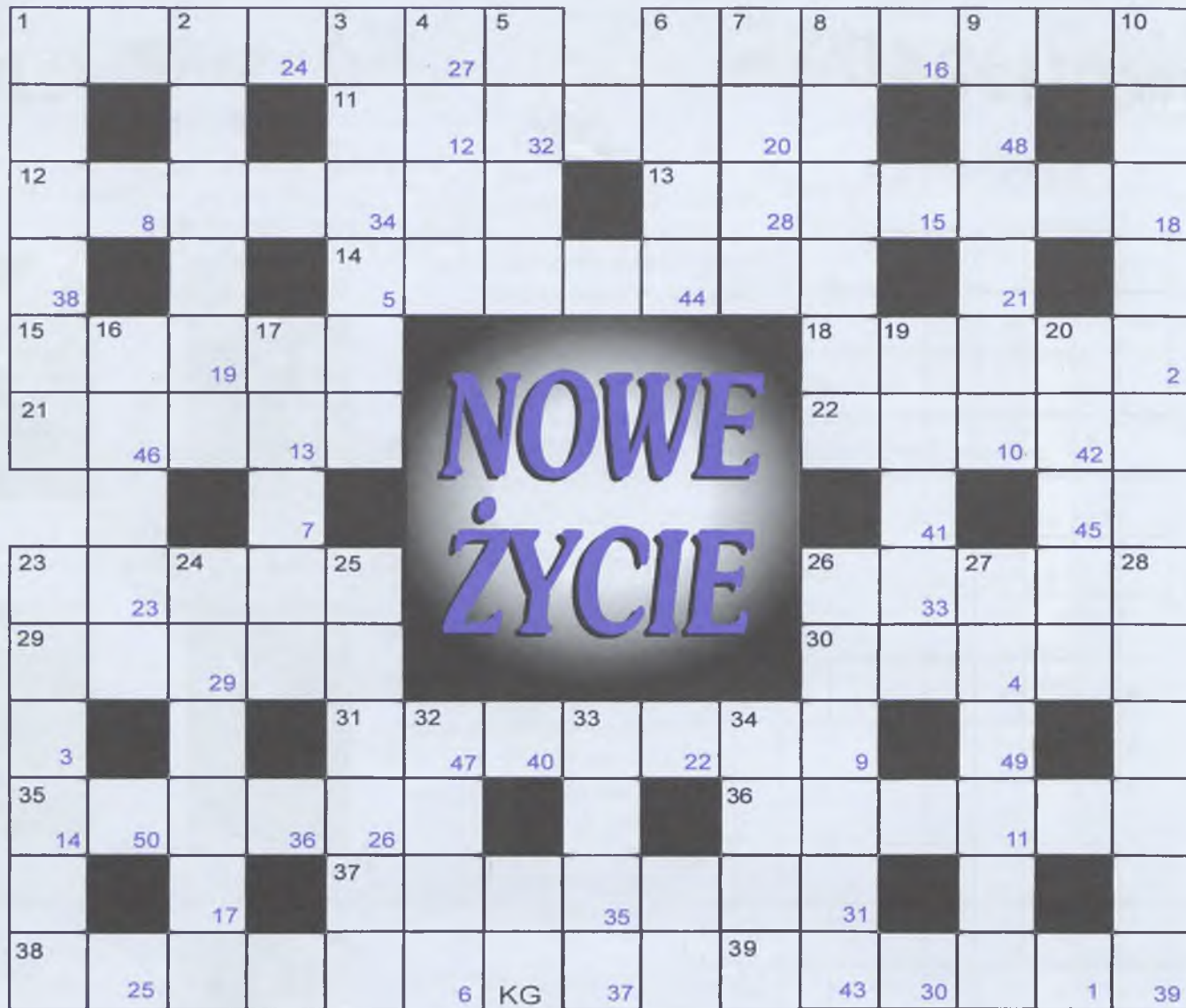
PLĄTANINKA



<<<
O czym nie możemy zapomnieć w listopadzie?

Kochani! Pozdrawiamy gorąco wszystkich Czytelników! Piśmie do nas!

**Redakcja Okruszka
„Nowe Życie”
ul. Katedralna 13
50-328 Wrocław**



POZIOMO: 1) zmarły niedawno emigracyjny biskup słowacki, wielki czciiciel i propagator Matki Bożej Fatimskiej (o imieniu Pavol), 6) bardzo rzadkie imię żeńskie (22 XII; odpowiednik drugiego imienia św. Franciszka, jezuita, misjonarza z Hiszpanii z XVI w.) lub dzielnica Będzina 11) dawne piece hutnicze, w których wytapiano żelazo, paląc węglem drzewnym, 12) gleba wapniowcowa na ogół o wysokiej wartości rolniczej, 13) starożytne plemię greckie z Tesalii, wyparte później do Eolii, 14) jaskółka gnieźdząca się pod oknami, 15) powitanie armatnie, 18) cieniaki makaron, 21) ciężka choroba dróg oddechowych, dychawica, 22) wytyczona droga, szlak, 23) osad, powstający np. na głowicy świecy samochodowej w wyniku zbyt długiego spalania, 26) zespół muzyczny, który towarzyszył niegdyś Markowi Grechucie, 29) główne bóstwo panteonu hinduistycznego, 30) duży gar, np. do gotowania bigosu, 31) wyprowadził Żydów z Egiptu (m.in. Wj 2, Joz 24), 35) kontroluje treść książek i innych publikacji, 36) w hinduizmie: zstąpienie bóstwa (zwłaszcza Wisznu) na ziemię w celu przywrócenia na niej ładu, 37) gospoda portowa, 38) rzeka syberyjska, lewy dopływ Jeniseju i miasto nad nią, stolica Chakasji, 39) rzeźba przedstawiająca mężczyznę, podtrzymującego budowlę.

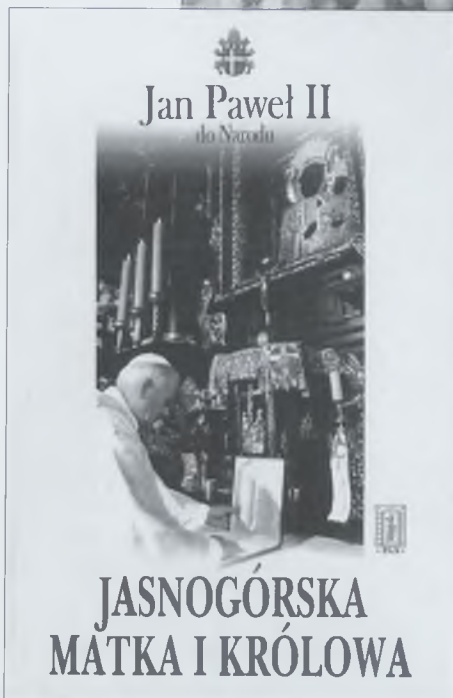
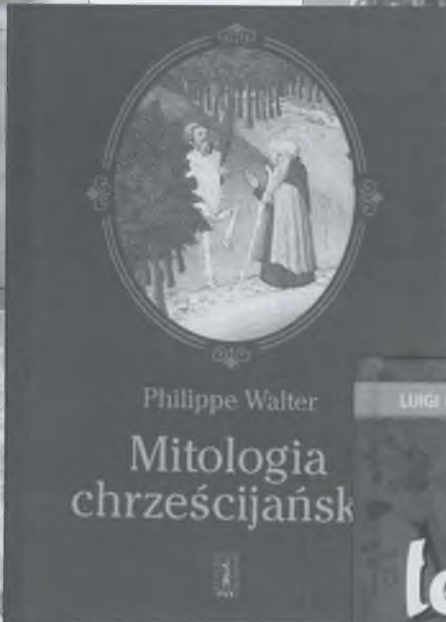
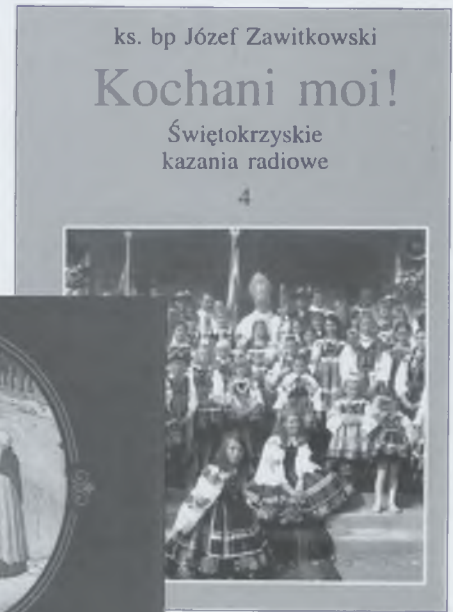
PIONOWO: 1) w islamie: piękna dziewczyna, która ma towarzyszyć mężczyznom w raju, 2) w prawie kanonicznym: zwolnienie duchownego od określonego obowiązku kościelnego, 3) tytuł powieści F. Dostojewskiego (lub człowieka głęboko upośledzony umysłowo), 4) srebrzysty metal o l. at. 30, stosowany do ochronnego pokrywania przedmiotów żelaznych, 5) doradca króla Aswerusa, który chciał zabić wszystkich Żydów, a został zdemaskowany przez Esterę (Est 3; 7; 8; pis. starsza), 6) „paliwo” naszego organizmu, 7) sus, 8) drzewo parkowe, pochodzące z Azji, bożodrzew, 9) w starożytnym Rzymie: żołnierz na koniu, później bogaty właściciel ziemski, 10) imię żeńskie, m.in. świętej średniowiecznej (2 VI), 16) jedno z miast z pokolenia Judy (Joz 15), 17) powściągliwość w działaniu, 19) popularne imię żeńskie, m.in. świętej portugalskiej (20 X), 20) przydomek przestępcy, 23) zagłębienie terenowe, 24) wchodzi w skład Trójmiasta, 25) bezwartościowy utwór literacki, 26) imię jednego z synów Jafleta (1 Krn 7), 27) potocznie: druk o treści propagandowej, ulotka polityczna, 28) wafel, potrzebny do przygotowania tortu, 32) duży port północno-zachodniej Algierii, 33) rynna wyżłobiona przez wodę w stromym stoku górskim, 34) stolica Jemenu.

Litery z pól oznaczonych liczbami od 1 do 50 utworzą hasło – fragment Psalmu 130 (131), stanowiące rozwiązanie całego zadania. Należy je przysłać do redakcji do 15 XII z dopiskiem na kopercie lub karcie pocztowej: „Krzyżówka nr 11/2006”.

Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy nagrody. Życzymy miłej rozrywki.
Rozwiązanie Krzyżówki nr 9/2006. POZIOMO: Fortuna, akmeizm, lowelas, swawola, grządkka, Tirhaka, Osiek, nulka, Eleni, Ałtaj, spust, inwar, tycze, Ziuta, tapioka, włosy, uncja, Dioskur, agawa, aport. PIONOWO: Fos-Zoe, rwanie, ulotki, Noi, Awar, alga, kark, Mszana, indult, Maadaj, slipy, Enosz, ułani, kabat, stawka, uczona, Tetyda, Izaura, wujcio, rabant, płoc, ośka. HASŁO: PAN OKAZAŁ SWOJE ZBAWIENIE, W OCZACH POGAN OBJAWIŁ SWĄ SPRAWIEDLIWOŚĆ (Ps 97, 2). Nagrody wylosowali: **Irena Trzewik** (Środa Śl.), **Marian Matuszczak** (Chrośnica), **Wiesława Łukaszewicz** (Wrocław), **Stefania Owczarek** (Ziębice), **Stanisława Ziółkowska** (Oborniki Śl.). Gratulujemy. Nagrody wyślemy pocztą.



Nowości Instytutu Wydawniczego PAX



Książki są do nabycia w Księgarni Archidiecezjalnej przy Placu Katedralnym we Wrocławiu.

*Daj mi poznać drogi Twoje, Panie,
i naucz mnie Twoich ścieżek!
Prowadź mnie według Twojej prawdy i pouczaj,
bo Ty jesteś Bóg, mój Zbawca,
i w Tobie mam zawsze nadzieję.
(Ps 25,4-5)*

